N. 43. WARSZAWA d. 14 (26) Października ROKU 1872.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

KILKA
KWESTYI BIEŻĄCYCH
W OBEC
ZDROWEGO ROZSĄDKU.

Zdrowy rozsądek, powie zapewne niejeden, wielka rzecz, któż go nie ma, począwszy od prostego chłopa, skończywszy na... Tutaj braknie właściwego słowa, nie dlatego, by mędrcom tego świata, nie zostawało téj powszedniéj, fundamentalnéj, że tak powiem umysłowéj władzy, ale po prostu z téj przyczyny, że władza ta z natury swojéj jest skromna, nie nadstawia się oczom, nie pnie na wierzch, i spoczywa ukryta na dnie ducha, przygłuszona za zwyczaj przez swoje ruchliwsze i głośniejsze siostrzyce.

Dzieje się więc z nią jak nieraz z ludźmi prawdziwéj zasługi, na których mało kto zważa, dla tego tylko, że nie sławią sami własnéj cnoty i nie chodzą napuszeni własną wielkością. A w dzisiejszym świecie blichtru i pozoru, biada tym wszystkim, co nie umieją zaimponować światu, i wykrzyknąć głośniéj od innych: „jam rozumny, mądry, genijalny!"

Mówią często że świat jest złośliwy, a jednak po bliższem rozpatrzeniu, zgodzić się na to nie można, bo przecież świat, dobrodusznie uświęca te chwalby ludzkie; bierze je na seryo, i po niejakim czasie zaczyna obchodzić się jak z rzeczywistą powagą, z temi co samowolnie dali sobie palmę wielkości. Czy dzieje się to za sprawą wzajemnych ustępstw i porozumień, mocą których ci wielcy ludzie tolerują i chwalą, nawet wiele rzeczy nie zupełnie zasługujących na pochwałę, czy też po prostu opinja gotowa ma zawsze sposób znalezienia stronników, chociażby dla tego tylko że nad nią zastanawiać się nie potrzeba, dość, że najprostszym sposobem dojścia do sławy jest samemu ją rozgłaszać.

Cóż dziwnego, że w téj powodzi zdań, w téj rozpacznéj walce o dobrobyt materyalny, toczącéj się na wszystkich szczeblach drabiny społecznéj, biedny rozsądek, zagłuszony, zdeptany, sponiewierany, skrył się gdzieś bardzo głęboko, i ztamtąd gdyby śmiał nawet cichutko protestować, przeciwko wielu bardzo zdaniom i zasadom to protestu tego nikt nie dosłyszy wpośród ogólnéj wrzawy.

A jednak, gdybyśmy odsuwając na bok utarte komunały, azurpujące sobie nie wiedzieć czemu w dziedzinie ducha, prawo obywatelstwa i wiele innnych naleciałości życia, posłuchać chcieli tego skromnego głosu, może nie jeden problemat bytu straciłby wiele ze swojéj zawiłości, może niejedne pozorne sprzeczności dałyby się sharmonizować.

I nie dziw, w społeczeństwie, istnieje pełno zasad, trudności i potrzeb, które zapewne ustąpiłyby przed zdrowym poglądem. Chodzi tylko o to, by jasno przedmiot określić i spojrzeć na niego trzeźwemi oczami, odsuwając na bok sąd tradycyi, obyczaju i namiętności stronniczych. Zachodzi jednak pytanie, czy to jest możebnem? Wszak oddychamy powietrzem które nas otacza, wciągamy duchem pierwiastki zalegające moralną atmosferę naszego czasu. Nieunikniony fakt ten przeszkadza zbyt nagłym przewrotom i w ekonomice socyalnéj nie można go lekceważyć, ale też sprzeciwia się on uparcie każdéj zmianie, a tem samem każdemu postępowi, i w praktycznem zastosowaniu liczyć się z nim trzeba koniecznie. Inaczej się ma jednak w dziedzinie abstrakcji i dla tego też sprobujmy wywołać przed sąd zdrowego rozsądku kilka palących kwestyi obecnych i posłuchajmy co on nam powie.

Naprzykład gdybyśmy chcieli wziąść tym sposobem pod rozbiór tak zwaną kwestyę kobiecą.

Czy jest na świecie przedmiot coby wywołał namiętniéjszą, dłuższą i nudniejszą polemikę? Poruszono niebo i ziemię, rzucono gromy ze stanowiska religijnego i społecznego; wchodzili w szranki weterani nauki i poezyi, występowały przeciw sobie najrozmaitsze żywioły, wyśmiewano się wzajem, przywodząc jako argumenta zasady moralności i prawodawstwa a nawet tradycyi biblijnéj, pomimo to wszystko kwestya nie posunęła się ani krokiem ku rozwiązaniu.

Bo też doprawdy nie wiedzieć czego, zachciewa się téj utrapionéj połowie rodzaju ludzkiego, zkąd wniosła ten nowy niepokój wśród świata, który i bez niego ma dość kłopotliwych zadań. Co to się mieszać kobietom do kwestyi społecznych i ekonomicznych? Co to je naprzykład obchodzić może, iż wszystkie drogi zarobku są przed niemi zamknięte, że raz wyszedłszy za mąż, tracą prawo rozporządzać swoją własnością: że się je uważa jako nieudolne do pracy i zarobku, a równe w obec odpowiedzialności i że wojna powołuje do morderczéj walki ich mężów, braci i synów, że... że.!. Wszakże od wieków prawodawstwo i społeczność, przyzwyczaiły się uważać je jako zero. Wszakże tak zawsze było, tak jest i tak będzie do skończenia świata.

Oto są utarte formuły któremi gromią nowatorów i nowatorki.. A jednak... jednak, gdybyśmy też spytali, co powie na to zdrowy rozsądek? Przecież tę poziomą, powszednią wzgardzoną nieledwie umysłową władzę nie można posądzić o marzycielstwo, ani o jakieś idealne teorye.

Kobieta—odzywa się z namaszczeniem tradycya, to kapłanka domowego ogniska, to matka, żona i nic więcéj i nic innego.

Kobieta, mówi z napuszeniem pewna szkoła fizyologiczna, to istota umysłem zarówno jak ciałem słabsza od mężczyzny, nie podoła mezkim studyom, ani mezkim zawodom.

(d. c. n.)

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

Żona wstrząsnęła głową z niedowierzaniem i wlepiła w niego spokojny ogień swych źrenic.

Widać ciężyło mu to spojrzenie, bo odwrócił głowę i spytał nagle urywanym głosem.

— Stefanjo, wszak prawda że ty jesteś szczęśliwą zupełnie szczęśliwą?

— Czyż możesz o tem wątpić, zawołała?

— Nie, ja nie wątpię, ale potrzebuję to wiedzieć, gdybym wątpił cierpiałbym bardzo.

— Arnoldzie, ja myślę nieraz, iż nie ma pod słońcem szczęśliwszéj odemnie kobiety.

Czasem lękam się przyszłości, bo czuję że posiadam zbyt wiele.

Pochwycił znowu jej rękę i ścisnął w swoich.

— Powtórz mi to jeszcze, zawołał, ty nie możesz wiedzieć jaką rozkosz mi sprawiasz.

— Oh! mogę ci to powtórzyć sto razy jak powtarzam saméj sobie co chwila.

— Powiedz mi, czy jest co, czegobyś pragnęła coby sprawiło ci przyjemność? Wy kobiety macie czasem fantazye, których odgadnąć niepodobna. Powiedz mi je, ażeby mogły stać się rzeczywistością.

—Nic nie pragnę Arnoldzie, odparła zwolna, chyba..

— Co? dokończ moja droga!

— Chyba tego, powtórzyła, by szczęście twoje równe było memu.

I mówiąc to spuściła czoło jakby zmroczył je cień smutku męża.

Były to bardzo naturalne słowa w ustach kochającéj żony, przecież gdy wymawiała je, szafirowe źrenice Kalińskiego zamigotały błyskawicą.

— Ty chcesz doprowadzić mnie do rozpaczy temi przypusz czeniami, wyrzekł, kryjąc pod uśmiechem przykre uczucie. Dostrzegła to i nie nalegała, ale mąż nadto dobrze nawykł czytać w jej myślach, by ich teraz nie odgadł.

— Stefanjo, wyrzekł po chwili milczenia, powiedz sama czego braknąć mi może?

Podniosła na niego oczy.

— Ja nie wiem i dla tego pytam, odparła.

— Czyż nie wiesz że byłaś i jesteś jedyną miłością moją. Cierpienia moje jedynie od ciebie pochodzić by mogły, a ty napełniłaś życie moje rozkoszą...

I przycisnął ją do siebie gwałtownie, jak gdyby na stwierdzenie słów ostatnich.

— Nie wiem, wyrzekła po chwili Stefanja, ja wyobrażałam sobie że może jakie majątkowe sprawy... Nigdy nie mówiłeś mi o swoich interesach Arnoldzie.

I znowu zabłysnęły mu oczy, czoło zbladło i okryło się niewidzialnemi prawie kroplami potu, jakby pod naciskiem wewnętrznéj męki, ale pomimo to usta nie straciły uśmiechu.

— Bo i dla czegóż miałem ci mówić o tych nudnych rzeczach, utrudzać twoje piękne usta wyrazami, do których nie są stworzone. Interesa nasze jak wiedzieć musisz są w kwitnącym stanie.

W głosie jego było coś ostrego, syczącego, gdy wymawiał te ostatnie wyrazy.

— Przecież, wyrzekła żona, od jakiegoś czasu tak bardzo zwiększyły się nasze wydatki.

— Czy się na to uskarzasz Stefanjo?

— O nie mój drogi, tylko przychodziło mi czasem na myśl, czy nie to jest powodem zmiany jaką w tobie dostrzegam.

On wzruszył ramionami.

— Ty Srefanjo, wyrzekł, ty powinnaś posiadać wszystko co świat ma najwytworniejszego, czoło twoje stworzone jest do klejnotów, ramiona do kosztownych materyi, nogi dotykać winny tylko miękkich kobierców. Spojrz na siebie sama, czy ta wspaniała postać może zniżyć się do codziennych trosk życia, czy nie powinna żyć wśród samych uśmiechów i królować świetnym salonom jak pani nad poddanemi? Byś miała to wszystko Stefanjo, było jedynem pragnieniem mojem. Mówił to spoglądając na żonę z jakąś gorączkową dumą.

— Psujesz mnie mój drogi, odparła tuląc się do niego miłośnie, pracowałeś na to bym miała ziszczone wszystkie dziecinne marzenia zbytku, które kiedyś snuły mi się po głowie, a ja lękałam się byś w téj gonitwie za majątkiem, nie utracił spokoju chociaż nie mówiłeś mi nigdy o walkach i nadziejach twoich.

Pomimo uścisku żony, twarz Kalińskiego zmieniła się widocznie, rozmowa ta była mu przykrą, a jednak jej nie przerywał. Stefanja wywierała na niego wpływ dziwny ukochanéj kobiety, boleść nawet zadana jej ręką sprawiała mu jakąś tajemną rozkosz...

— Chciałem widzieć na ustach twoich tylko uśmiechy, odparł, niepokoje, troski, zawody nie powinny były nigdy zmroczyć pogody twego czoła i nie zmroczyły go, wszak prawda?

— Ty dla mnie róże nawet obrywałeś z kolców, zawołała patrząc na niego zwilżonemi oczyma.

— Alboż te ręce powinny były skaleczyć się niemi, wyrzekł podnosząc do ust jej drobną toczoną dłoń, z nieskończoną miłością

— Ale teraz Arnoldzie porzuciłeś zupełnie hazardy spekulacyjne, nie mieszasz się już więcej do tej szalonej gonitwy za pieniądzem, tyś mi to przyrzekł.

— I dotrzymuję słowa, odparł z przymuszoną wesołością, to co mamy wystarcza, rachunki moje z przeszłością zamknięte.

Kaliński sam wymówił te niebaczne słowa, a jednak dźwięk ich uderzył go rażąco, zdawało mu się, że jakieś szydercze echo, pochwyciło je i powtarzało mu w duchu. ,,Śmierć jedna zamyka rachunki życia, śmierć jedna kończy jego niepokoje.

W tej chwili szmer jakiś w przyległym salonie przerwał rozmowę małżonków. Arnold spojrzał na zegar.

— Dzięki tobie zapomniałem o dzisiejszym wieczorze, zdawało mi się, że ty dla mnie jednego ubrałaś się tak cudnie i weszłaś tu jak czarodziejka oświetlając wszystko swoją pięknością. Puść mnie teraz, ktoś nadszedł, ubierać się muszę.

Był pewien odcień żalu w tych słowach, który Stefanja zrozumiała.

— Jeśli nie lubisz wieczorów mój drogi, zawołała, pocóż ich mamy wydawać? Czy sądzisz że ja...

— Ty należysz się światu, odparł, jak świat należy się tobie. Czy sądzisz że nie jestem szczęśliwy gdy wszystkie oczy zwracają się na ciebie, gdy jesteś najpiękniejszą, najstrojniejszą tak jak i najlepszą? Nie zapominaj że twoje tryumfy są mojemi, twoje szczęście mojem szczęściem.

Jeszcze raz złożył pocałunek na jej czole i trzymał w nią wzrok wlepiony, dopóki nie znikła za ciężką portyerą, wówczas oparł głowę na ręku i westchnął. W duchu jego zrobiło się ciemno stał chwilę jeszcze przy migającym płomieniu ogniska, potem jak człowiek co pomimo znużenia bierze znowu na barki ciężar o którym wie że go dźwigać musi kończył zaczęte ubranie i udał się do salonu za żoną.

Salony właśnie zapełniać się zaczynały, Kaliński ze zwykłą uprzejmością czynił zadosyć obowiązkom gospodarza domu. Zebrania jego słynęły wyborem, gustem i wykwintem, bo też otaczał go ogólny szacunek. Kaliński umiał używać darów fortuny, żadna nędza nadaremnie nie odezwała się do niego, żadnej pomocy nie odmówił nikomu, a czynił to nie z pychy, nie dla pochwał ludzkich, ale z naturalnych popędów szlachetnego serca. Miał zapewne dużo zazdrośnych, przecież nikt nie ośmielił się rzucić cienia na nazwisko ni przeszłość jego głos ogólny przyznawał mu nieskazitelność zasad i postępków, nawet ktow domowych stosunkach i w tych przekroczeniach, re świat nie poczytuje wcale za winę.

Kobiety może w głębi ducha nienawidziły pani Kalińskiej, noszącej tak dumnie potrójną koronę piękności zbytku i miłości, a jednak nigdy mówiąc o niej, nie miały dwuznacznego wyrazu, nigdy szyderczy uśmiech nie spotkał się z jej nazwiskiém. Wszyscy wiedzieli iż ona tak bardzo kochała męża, tak bardzo była przez niego kochaną, że żadna obca postać, nie wślizgnęła się nigdy nawet w domysłach ludzkich pomiędzy ich dwoje. Była to wyjątkowa para, stawiająca dotykalne zaprzeczenie wszystkim teoryom o krótko trwałej miłości małżeńskiej, kursującym zwykle na świecie.

Pan Arnold miał słuszność, żona jego istotnie królowała w śród całego zebrania, nawet Helenka z czarującym wdziękiem swych lat siedemnastu, wydawała się tylko przy matce ładnym małoznaczącem dzieckiem.

Hieronim w różnobarwnym tłumie balowym zdawał się obcym i zgubionym. Wprawdzie spotkał tu nie jedną osobę znajomą, ale chłodna twarz jego nie rozjaśniła się ogólnym ruchem, nie ożywiła żadnem uczuciem, widocznie znajdując się tutaj, dopełniał tylko obowiązku. Helenka przybiegła do niego prosząc by przesłuchał jej rolę. Ignaś by przejrzał ostatnie przygotowania na scenie, uczynił zadosyć ich żądaniom z tą obojętną grzecznością, świadczącą że skoro poświęcił im dzisiejszy wieczór, było mu zupełnie wszystko jedno, w jaki sposób czas jego tak stracony zużytkowanym będzie.

Helenka powtarzała kokieteryjną rolę Lizetki z wielkiem ożywieniem, nie szczędząc figlarnych ucinków, które mogły wypływać z położenia, a może też wymierzone były wprost na słuchającego ją nauczyciela brata. Ale te niewinne wyzwania, odbijały się od puklerza jego obojętności. Nieznacznie też ściągały się brwi Helenki, bo doprawdy to mogło każdego zniecierpliwić. Najsprytniejsze odpowiedzi Lizetki, nie wywołały uśmiechu nawet na jego usta. Wreszcie młoda dziewczyna skończyła.

— Czy dobrze tak będzie panie Hieronimie? spytała odbierając z rąk jego kajecik roli.

— Doskonale pani; odparł spokojnie.

— Pan tak mówisz tylko, ale pan tego nie myślisz, pochwyciła rozgniewana, iż nie mogła od niego dostać tej szczypty uwielbienia, jaką sądziła się w prawie wymagać.

Hieronim uśmiechnął się nieznacznie.

— Ja zawsze mówię to co myślę, wyrzekł.

Helenka zastanowiła się chwilę.

— W takim razie, wyrzekła podnosząc na niego pełne zalotności oczy, dla czego nie powiesz pan odrazu że gram szkaradnie?

Wyraźna ta kokieterya, nie uszła z pewnością bystrego oka Hieronima, przecież jeśli pogłaskała ona serce lub tylko miłość własną jego, nie dał tego poznać po sobie i mówił dalej z jednaką obojętnością.

— Bo tego nie znajduję wcale.

— A to nieznośnie, to nie do wytrzymania, zawołała rozdąsana.

— Czy mogę zapytać się panno Heleno, o co tu idzie?

Wzrok jego był tak poważny, że dziewczyna zmieszała się tem prostem pytaniem, i zarumieniła po uszy. Chwilę tak stała naprzeciw niego nie wiedząc dobrze co odpowiedzieć, aż wreszcie zawołała.

— Bo pan jesteś taki nudny!

— Wiem o tem bardzo dobrze pani, dla tego też nie narzucam wcale swego towarzystwa.

— Ależ ja nie to chciałam powiedzieć; przerwała targając w rękach fartuszek, arcydzieło Józi, nie, nie to, pan wcale nie jesteś nudny, tylko czasem dla mnie, teraz naprzykład.

Patrzyła na niego z pod oka, upatrując w tej surowéj ascetycznéj prawie twarzy, miększego uczucia.

— Nie rozumiem cię panno Heleno, odparł oglądając się w koło, jakby szukał sposobu przerwania téj rozmowy.

— Oh! ja wiem dobrze iż mnie pan nie chcesz zrozumieć, masz mnie za dziecko zepsute, za istotę bezmyślną, na którą nie warto zwracać uwagi.

I jakby na dowód że nie zasługuje na sąd ten, oczy jéj migotały łzami, które już miały spłynąć. Położenie Hieronima stawało się kłopotliwe, zmartwienie Helenki którego był mimowolnym sprawcą, nie budziło w nim wielkiego współczucia, dla serca jego, zajętego wielkiemi abstrakcyami, zaludnionego ideami ukochanemi namiętnie. Kaprys ładnej panienki, którego doniosłość rozumiał, zapewne nie miał żadnego znaczenia, była to jedna więcéj przykrość tego wieczora.

Szczęściem Helenka potrafiła zapanować nad sobą, łezki jéj schowały się za ciemnemi rzęsami, ale fakt zupełnéj obojętności Hieronima był dla niej tak niezrozumiałym, iż po chwili wyrzekła znowu pewna, iż tym razem przynajmniéj potrafiła zdobyć sympatyę jego.

— Co też pan o mnie myślisz?

— Powinno to panią bardzo mało obchodzić, wiesz dobrze ze jestem stary dziwak, nie należę wcale do świata.

Dziewczyna wstrząsnęła głową z widocznem niedowierzaniem.

— Otóż właśnie że mnie to obchodzi, jak się panu zdaje czem ja jestem?

I patrzyła na niego miłosiernie, oczyma jeszcze nie oschłemi z łez, jakby wyprosić niemi chciała jakie łagodne słowo.

— Myślę że jesteś pani zepsutem dzieckiem, jak sama wyrzekłaś.

Wargi Helenki zadrgały.

— I to wszystko, spytała stłumionym głosem.

— Wszystko co ja wiem przynajmniéj.

Umyślnie może wypowiedział jej bez ogródki lekceważenie swoje, gdyż spostrzegł dzisiaj wyraźnie, iż był celem przelotnéj uwagi jaką panny w położeniu i z wychowaniem Helenki, zwykle darzą bez rozwagi pierwszego lepszego, co stanie na ich drodze. Nie chciał zatem by ta uwaga szła daléj lub przybierała barwę uczucia. Czyniąc tak miał może zasługę. Nie był on wcale sentymentalnym chłopcem, na którym piękne oczy ładnéj dziewczyny muszą zrobić wrażenie. Ascetyczna surowość życia broniła go od łatwych pokus, miłostki nie istniały dla niego, był może zdolnym paść ofiarą namiętności, ale czy namiętność mogła obudzić się odrazu. We współce z sercem musiałaby być inteligencya jego: by poruszyć iskrę tlejącą na dnie tego ducha, pod strażą pokonanych zmysłów, trzeba było przemówić do jego myśli i zdobyć sobie przekonanie. Tak sądził przynajmniéj; a jednak i on był młodym, i wyraźna zalotność ślicznéj dziewczyny uparcie tkwiła w jego pamięci, ale nie pokazał tego. Helenka odeszła rozgniewana, on właśnie tego pragnął, i osiągnawszy ten łatwy cel, nie okupiony żadnym niepokojem, żadną nawet przelotną chwilą żalu, stanął w oknie w pół ukryty ciężką draperyą firanek, i z tamtąd rozglądał się po zgromadzeniu.

Nie podzielał on wcale ogólnéj wesołości, przeciwnie zdawało się, że ten szelest jedwabi i widok głów strojnych, wywoływał w nim jakieś przykre myśli, bo surowe oko jego, wpijało się w tłum różnobarwny, jakby dopytywał się tam daremnie myśli jakich, jakby zbytek bijący z tych wszystkich postaci, nasuwał mu przykre obrazy i wspomnienia. Upajający czar tej atmosfery przesiąkłéj woniami nie działał na niego, potrafił uchronić się od uroku i spoglądał trzeźwo, jakby miał prawo żądać rachunku od tych ludzi, z potęg i sił, które roztrwonili na marny cel błyszczenia. I zamiast układnych otaczających go postaci, powtarzających tak niezmordowanie gładkie frazesa, pokrywające zazwyczaj nicość moralną, w wyobraźni jego jawiły się jędrne indywidualności ludzi, zdobywających w pocie czoła twardy chleb codzienny, ludzi których przynajmniéj ręce były silne i dzień użyteczny. Tak stał surowy i zamyślony gdy przystąpił do niego gospodarz domu.

— Cóż tak samotny panie Hieronimie? zapytał z uśmiechem.

Hieronim miał dla Arnolda Kalińskiego ten szacunek pełen sympatyi, jaki on wzbudzać umiał, dla tego też zamiast zwykłego ogólnika odparł mu poważnie.

— Widziałem dzisiaj wiele nędzy.

Szlachetne czoło Arnolda zachmurzyło się.

— Zdaje mi się czasem, odparł, iż zamało o tem myślimy, a jednak...?

Pytanie to zdawał się zwracać więcéj do samego siebie, niż młodego człowieka, może wspomniał w duchu wszystkie dobroczynne instytucye, do których należał, może rzeczywiście dość czynił dla biednych.

— A jednak, pochwycił Hieronim, jeśli ludzie bez dachu i chleba, w te smutną noc zimową, staną przy bramie tego pałacu, i zobaczą niesłychane zbytki tych strojów, wyobraź sobie pan co oni pomyślą? Pan Arnold uśmiechnął się z trochą przymusu.

— Przesada jest wadą młodości, wyrzekł, więc nie dziwię się iż jesteś tak surowym dla naszego towarzystwa.

— Nie, ja nie jestem surowym, zawołał Hieronim. Surowemi są okoliczności, gdyby wszyscy mieli chleb, odzienie i owe pierwsze zdrowe pojęcie o niezmiennych prawach rządzących społecznością, które stanowią chleb duchowy, zbytek byłby niewinną zabawą jak każda inna, bez szkody bliźniego. Ale dziś gdy nienawiść klas wrze podżegana nędzą i ciemnotą, gdy fałszywe doktryny nurtuje głębie społeczeństwa, powiedz czy bezpiecznie jest drażnić tych, co nie mają nic do stracenia widokiem nadmiaru, kiedy im braknie możliwości bytu? Powiedz czy nie przemawiam tutaj w interesie własnym nas wszystkich, związanych solidarnie węzłem inteligencyi? Czy nie powinniśmy w chwilach niebezpiecznych teoryi walk i przesileń, okazać się w dwójnasób oględnemi, za siebie i za tych, których rozum jest niewykształcony?

Gdy to mówił, oko jego błyszczało tym namiętnym wyrazem, którego nie wywołały ni zalotne obejście Helenki, ni widok tych wszystkich postaci niewieścich, snujących się strojnie w denerwującéj atmosferze balu. Usta jego drżały wypowiadając te proste słowa, jak gdyby dotykały najdroższych tajemnych myśli. Po chwili jednak spostrzegł zapewne niestosowność tego wybuchu, bo dodał hamując wzruszenie.

— Rozumowania moje nie są w porę, czuję to, wybacz mi pan.

Spuścił oczy, zawstydzony, że uchylił przed obojętnemi, zasłonę swego ducha, i nie mógł widzieć uczynionego wrażenia. Na twarz Arnolda wystąpiły bruzdy, obudziły się w nim jakieś echa bolesne, poruszyły chóry zgryzot: pozostał czas jakiś milczący ze schyloną głową, moralne brzemię zdawało się go przygniatać.

— Masz pan słuszność może, wyrzekł w końcu, myśli twoje są szlachetne, sprawiedliwe, czemuż nie rozumieją się wszyscy.

W tych słowach był ukryty żal, słysząc je Hieronim powiódł wzrokiem po różnobarwnéj fali ludzkiéj, toczącéj się po salonie i odparł.

— Na to trzebaby innego wychowania niż to, które odbiera dzisiejsze pokolenie. Patrz pan, mówił daléj wskazując Kalińskiemu snujące się pary, patrz czego ono nauczyć się może wśród fałszywych uciech, wśród wymagań próżności. W tej atmosferze podnoszącej wszystkie sztuczne potrzeby ludzkie, tem samem głuszące prawdziwe, co zdrowego w sercu i myśli ostać się może przed jej denerwującym wpływem?

Kaliński miał nadto rozumu i doświadczenia, by nie uczuć prawdy tego surowego zdania, jednak probował z niem walczyć, może chciał bronić tego wszystkiego co mu drogiem było.

— Wszak ty, panie Hieronimie, zapytał, ty jesteś także członkiem tego pokolenia, a przecież...

— Ja, odparł z uśmiechem młody człowiek, miałem szczęście urodzić się ubogim. Widziałem ciężką walkę codzienną, którą ojciec zapewniał nam byt, nauczyłem się cenić wartość rzeczy nie według abstrakcyjnej lecz prawdziwej normy.

Pan domu słuchał go z prawdziwem zajęciem.

— Posiadasz pan, wyrzekł po chwili, rzecz rzadką bardzo, odwagę swoich przekonań.

— W tem także nie mam zasługi, mogę śmiało rzucić wyzwanie światu, nie dbam jak on mnie osądzi bo umiem obchodzić się bez niego.

Te dumne wyzywające słowa zastanowiły znowu Arnolda. Wlepił wzrok w nauczyciela syna z wyrazem tłumionéj zazdrości, i westchnął ciężko, jakby piersi przygniatał mu ciężar straszny, potem oddalił się zwolna, a Hieronimowi zdawało się, że szeptał jakieś niezrozumiałe słowa, posród których dosłyszał przekleństwo i zbytek.

Ale było to zapewne złudzenie, Arnold Kaliński miał w zbytku upodobanie nawyknienia, z resztą stanowił on dla niego niezbędny warunek estetyczny. Jak to zwykle bywa u ludzi którzy nie umiejąc wznieść się do zrozumienia prawdziwego piękna, biorą za jednoznaczny z nim wykwint i wyszukanie.

Pan domu unosił z téj krótkiéj rozmowy jakieś przykre wrażenie, gdy w przyległym gabinecie, córka uwiesiła się na jego ramieniu. Nie wiem czy w ruchliwym umyśle panny Heleny, zatarł się ślad żalu, wywołanego poważnemi słowami Hieronima. Prowadziła dowcipną rozmowę z otaczającą ją młodzieżą, zdając się najzupełniéj zapominać o źle wychowa-

nym dziwaku, który miał tak zły gust iż nie podzielał dla niéj ogólnego uwielbienia.

Przecież gdy ojciec opuściwszy Hieronima szedł do drugiego salonu, Helenka która ze swego miejsca mogła ich dostrzedz obydwóch, natychmiast zbliżyła się do niego.

— Cóż tak długo rozmawiałeś ojcze z panem Hieronimem? spytała żartobliwie.

Ale takiem nie było usposobienie Kalińskiego, spojrzał poważnie na córkę, i dojrzał w jéj oczach coś, co dało mu wiele do myślenia.

(d. c. n.)

Korespondencja

Lwów, z Października 1872.

W poprzedniéj korespondencyi, podałem nie bardzo pochlebny obraz lwowskich stosunków dziennikarskich, przyczem mimowoli nasunęła się obawa, czy dziennikarstwo nasze nie postradało na zawsze wpływu, jaki w każdem społeczeństwie wywierać może i powinno. Spraw iedliwość sama domaga się zapisania faktu, który bodaj na chwilę zdołał zrehabilitować stanowisko i znaczenie naszych organów opinij publicznéj. Faktem tym zajmowała się gorączkowo nietylko lwowska, lecz w ogóle galicyjska publiczność inteligentna, bo odsłania on jedną ujemną stronę naszego społeczeństwa, i już z tego powodu wypada mu poświęcić trochę obszerniejszą wzmiankę.

Ustawy zasadnicze cesarstwa Austryjackiego, zakreśliły stanowi sędziowskiemu nader pochlebne i zaszczytne stanowisko, przyjmując zasadę niezawisłości i nietykalności sędziego, od której odstąpić można tylko co do indywiduów, którym udowodniono jasno i dobitnie nadużycie. Już od dawna wyrobiło się przekonanie, że sędziowie nasi na prowincyi z nader rzadkiemi wyjątkami, nadużywają wytkniętego im ustawami stanowiska. Wszędzie zaczęto mówić o dawnych bezprawiach, i oburzającym wymiarze sprawiedliwości, na czem cierpieć musiała oczywiście najmniéj oświecona warstwa galicyjskiego społeczeństwa t. j. lud wiejski, który też istotnie powątpiewać zaczynał o użyteczności władz sądowych i udawał się do nich w końcu tylko wtedy, gdy go zniewalała do tego nieodżowna konieczność. Głosy niezadowolenia objawione z początku bardzo nieśmiało, stawały się coraz powszechniejszemi i przeszły w końcu do szpalt dziennikarskich. Dziennik polski, któremu każdy przyznać musi, że w śmiałem wytykaniu osobistości okazuje największą odwagę cywilną, stał się najpierw organem tego niezadowolenia, a sędzia powiatowy w Sniatynie p. P... został pierwszą ofiarą jego wystąpienia. Od roku pojawiały się w Dzienniku polskim Korespondencye ze Sniatyna, zarzucające panu P., cały szereg takich niegodziwości, że zaczepionemu nie pozostała inna droga jak tylko wytoczenie procesu o oszczerstwo. Pan sędzia sniatyński uczynił to istotnie i w ubiegłym miesiącu byliśmy świadkami kilko-dniowego procesu, który zgromadzał codziennie w sali rozpraw ostatecznych niezwykłe liczne grono słuchaczy. Redaktor Dziennika polskiego zobowiązał się złożyć dowód prawny, gdyż w ten tylko sposób mógł uniknąć kondemnaty. Proces rozpoczął się pod najgorszą dla niego wróżbą. Spóźnił się bowiem z przedłożeniem listy świadków, którzy w skutek tego na żądanie przeciwnéj strony zostali przez sąd wyłączeni. Nie pomogły już potem przedstawienia obwinionego redaktora, nie pomógł nawet fakt, że wspól-obwiniony autor korespondencyi, burmistrz miasta Sniatyna sprowadził tych świadków własnym kosztem z odległego Sniatyna do Lwowa. Strona oskarżająca nie chciała odstąpić od prawa przyznanego jéj w procedurze, a sąd nie mógł wbrew jéj żądaniu zarządzić przesłuchanie świadków.

Zdawało się z początku, że redaktor Dziennika polskiego straciwszy tak ważny środek dowodowy ulegnie w tym procesie. Tymczasem stało się inaczéj wbrew powszechném przypuszczeniom. Nadużycia pana P... były tak liczne i jawne, oskarżenie redaktora Dziennika polskiego tak śmiałe i zręczne, a wskazówki jego korespondenta i współobwinionego o oszczerstwo tak pewne i dokładne, że sędziowie przysięgli po kilkudniowéj nader ożywionéj i ciekawéj rozprawie orzekli, iż obwinieni nie są winni zarzuconego im oszczerstwa, a tem samem dowiedli prawdziwości zrobionych zarzutów.

Po tak okropnej klęsce moralnej p. P... przebyć musi obecnie drugą jeszcze okropniejszą burzę, która pozbawi go zapewne miejsca i chleba t. j. popadnie w ostre śledztwo dyscyplinarne, w którem w obec powyższych faktów i nacisków opinii publicznéj, nie może żadną miarą liczyć na pobłażliwość przełożonych. Proces ten wywołał w całym kraju wrażenie niesłychane a tryumf Dziennika Polskiego był w całem tego słowa znaczeniu świetny. Ludność miasta Sniatyna odwdzięczyła jego redaktorowi dyplomem honorowego obywatelstwa.

Być może, że jestto płonna nadzieja, ale w każdym razie spodziewać się można, że wynik procesu stanie się zbawiennym. Najpierw bowiem nasi sędziowie poznają, że mimo uprzywilejowanego ich stanowiska niedołęztwa i ospałości władz przełożonych jest trybunał, przed który sprawiedliwość uciec się może z wielką nadzieją powodzenia. Takie pojęcie jest bardzo potrzebne i już to samo nadałoby procesowi Dziennika Polskiego wielkie znaczenie. Drugim skutkiem procesu będzie nauczka dla tej części naszej młodzieży, która w wyborze zawodu nie kieruje się głosem powołania, lecz goniąc za korzystnemi posadami i pragnąc jak najprędzej skapitalizować studja prawnicze, nadużywa stanowiska swojego. Proces ukazał, jak okropne są skutki sprzedajnego sądownictwa, a potępienie powszechne sprawy p. P...jest wymowną przestrogą. Wreszcie oczekiwać można po tym procesie, że dziennikarstwo nasze pozna, jak szerokie pole do działania ma przed sobą i jak zbawiennym mógłby się stać wpływ jego, gdyby zamiast osłabiać powagę swoją skandalicznemi polemikami, zajmowało się poważnie i uczciwie tylu piekącemi sprawami bierzącemi, które u nas tylko pobieżnie i od niechcenia dotąd traktowane bywały.

Obok procesu Dziennika Polskiego mieliśmy jeszcze jedną ważną sprawę publiczną, którą Lwów zajął się gorączkowo. Tą sprawą był wybór jednego posła w miejsce zmarłego dr. Fraenkla. Ruch wyborczy był silny, bo w agitacyi ścierały się ze sobą nietylko stronnictwa polityczne lecz także i wyznaniowe, z których żadne nie okazało się dość silnem do przeprowadzenia swojego kandydata. Równowaga sił a raczej bezsilność sprawiła, że wybrany został wiceprezydent naszego miasta notarjusz Jasiński, mąż nadzwyczaj prawego charakteru i ożywiony najszlachetniejszemi zamiarami, ale dotąd nowicyusz w zawodzie politycznym i jak się zdaje nie uzdolniony do tego zawodu.

Najsmutniejszą stroną całej agitacyi wyborczej była walka stoczona z Izraelitami, którzy z dotychczasowej praktyki chcieli utworzyć regułę, że jednym z czterech posłów miasta Lwowa musi być Izraelita. Postawili więc własnego kandydata adwokata dr. Honigsmana, na którego zresztą byłoby padło niezawodnie wiele głosów chrześcijańskich, gdyby nie ta okoliczność fatalna, że kandydat przenosi się na stały pobyt do Wiednia i tam wejdzie w bliskie stosunki ze sferami, w obec których delegacya galicyjska, walcząca ciągle o samorząd kraju, musi być jak najswobodniejszą i zupełnie niezawisłą. Dużo ucierpiała kandydatura dr. Honigsmanna w skutek tego, że dzienniki wiedeńskie nie przypuszczając, by w Galicyi znaleźć się mógł Izraelita nie centralista, sfałszowały jego mowę kandydacką i popierały go usilnie. A poparcie „Press" wiedeńskich wystarczy u nas niezawodnie w obecnej chwili, na obalenie nawet najsilniejszej kandydatury.

Drugą smutną stroną ostatnich wyborów, było zerwanie solidarności przy głosowaniu, do czego hasło dał redaktor Gazety Narodowej p. Jan Dobrzański, gdy komitet przed-wyborczy uchwalił polecić wyborcom kandydata niemiłego dla stronnictwa Gazety. P. Dobrzański nigdy nie przebiera w środkach, gdy idzie mu o osiągnięcie zakreślonego z góry celu. To też i obecnie jawnie używał wyborców, by nie wiążąc się obowiązkiem solidarności głosowali na różnych kandydatów według własnego upodobania. Te zabiegi wcale niepochlebne dla redaktora najwięcej rozpowszechnionego dziennika, uwieńczone zostały niestety pomyślnym rezultatem. Według przepowiedni p. Dobrzańskiego rozstrzeliły się głosy, żaden kandydat nie otrzymał wymaganej w ustawie ilości głosów, w skutek czego odbyć się musiało ponowne głosowanie, które skończyło się już spokojnie, bo komitet nowy przyjął popieraną przez p. Dobrzańskiego kandydaturę p. Jasińskiego, a Gazeta Narodowa nie pamiętając o swojej nie dawnéj roli, przypomniała gorąco wyborcom lwowskim, że solidarność przy głosownniu jest najświętszym obowiązkiem każdego prawego obywatela.

Fakt ten dowodzi jasno, jak fatalnem jest u nas rozbicie stronnictw, jak wielkim jest brak własnego przekonania i poczucia obowiązków obywatelskich, skoro herostatowe zabiegi jednego człowieka, wystarczają na zwichnięcie ważnego aktu publicznego. Tem się tylko pocieszamy, że p. Dobrzański nadużywszy już tyle razy zjednanej sobie dawniej popularności, traci widocznie zaufanie i niebawem może znajdzie już tylko bardzo szczupłą garstkę ludzi, którzy gotowi będą iść zawsze ślepo za jego radą i forytować jego ukryte plany.

(d. n.)

WIADOMOŚCI
Z NAUK PRZYRODNICZYCH
ODNOSZĄCE SIĘ DO
DOMOWEGO GOSPODARSTWA
I POTRZEB
ŻYCIA CODZIENNEGO.

II.

Pokarmy.

(Dalszy ciąg.)

Chleb. Chleb niczém inném nie jest jak tylko ciastem z mąki zbożowéj, które odbyło fermentacyą i w piecu wypieczoném zostało.

Czémże jest mąka? Jest to ziarno zbożowe, na drobny proszek między kamieniami młyńskiemi

utarte, a za pomocą przesiania oddzielone od wierzchniéj swéj łuski, to jest *otrębów*.

Mąka zbożowa zawiera ciała następujące, które jednak różnią się co do ilości, według gatunków zbóż i wpływów klimatycznych.

1° Substancye azotowe: *gluten* czyli *fibryn* roślinny, *albumin* czyli roślinne *białko* i *kazein* roślinny albo *sernik*.

2° *Krochmal* i ciała od niego pochodzące, jak *dekstryn* czyli krochmalna gumma i *cukier*.

3° Substancye tłuste.

4° Sole wapna, potażu i sody.

Substancya azotowa znana pod nazwiskiem *glutenu*, nadaje ciastu własność *wschodzenia* czyli *rośnięcia*, co czyni chleb lekkim, smacznym i łatwym do trawienia.

Mamy sposób bardzo prosty odosobnienia, czyli oddzielenia zupełnie owego *glutenu*, będącego w najznaczniejszéj części przyczyną pożywnych własności chleba. Pod spadającym nieustannie małym strumieniem wody, zarabia się trochę ciasta i mięsza się je ciągle, aż dopóki woda uchodząc nie przestanie unosić z sobą krochmalu, co się pozna po zupełnéj czystości wody. Gdy to nastąpi, w rękach pozostanie substancya miękka, błonkowata, klejka, bardzo sprężysta z właściwym sobie zapachem, a koloru szarego; jest to ów *gluten* właśnie. W pszenicy ilość jego zmieniać się może od 8 do 20 części na 100; ani ziarna wszelkich innych zbóż, ani jakiebądź rośliny na pokarm używane, w tak znacznéj ilości nieposiadają go.

Znamy wielką liczbę odmian i gatunków *zbóż*, które można podzielić na trzy kategorye, według ich specyalnych pożywnych własności: 1° *zboża twarde*, najwięcéj *glutenu* posiadające, mające twardość, przejrzystość i pozór jakby rogowy sobie właściwy, a mogące dać przy równéj wadze, więcéj mąki i chleba aniżeli inne gatunki. 2° *Zboża wpół twarde*, więcéj używane, wewnątrz przejrzyste a mączne we środku, dające od 75 do 80 na 100 białéj mąki; te zwykle mielą się w sposób odmienny, to jest rozbijają się wprzódy na drobne części czyli na *krupy*, które płuczą się starannie w wodzie; i 3° *zboża miękkie*, wyróżniające się swém mącznéem wéjrzeniem, białawe w całéj swéj massie, dają mąkę bardzo białą, lecz mniéj w gluten bogatą i mniéj pożywną.

Chleb znany był w najodleglejszéj starożytności. Egipcyanie już za czasów Mojżesza używali przy robieniu chleba *rozczynu* czyli *kwasu chlebnego*. Sztuka przygotowywania tego zasadniczego pokarmu, w początkach swych, bardzo prostą i niezgrabną była. Poprzestawano na przypaleniu ziarna, roztarciu go między dwoma kamieniami, potém gotowano zamiesiwszy wodą. Tym sposobem otrzymywano rodzaj rzadkiego ciasta, bardzo pożywnego zapewne, lecz wcale niemiłego w smaku. Późniéj pieczono z grubéj mąki placki, oczywiście bardzo ciężkie i zakalcowate. Nareszcie kwas wszedł w użycie.

Piekarze osiedli w Rzymie w roku 580 po założeniu tego miasta. Użycie chleba szybko rozszerzyło się po wszystkich koloniach rzymskich. Narody które od jarzma rzymskiego uchylić się zdołały, dopiero znacznie późniéj obeznały się z tym szacownym pokarmem.

Obaczmyż teraz jak się chleb wyrabia, i przebierzmy całą czynność mającą na celu zamienienie mąki w chleb.

Najprzód mąka się zwilża; woda przenika krochmal i gluten, a roztwarza części rozpuszczalne, jako to dekstryn, cukier i substancye białkowe.

Mąka zarobiona po prostu tylko wodą, dałaby ciasto gęste, zbite, a po upieczeniu do strawienia ciężkie. Ażeby miękisz chleba miał ten pozór lekki i pulchny, potrzeba użyć substancyi któraby wywołała w ciaście fermentacyę, czyli innemi słowy: napełnić ciasto gazem węglowym, którenby je lżejszém uczynił. Czynnik którego do obudzenia fermentacyi w ciaście używają, nazywa się *rozczynem*, albo *kwasem chlebnym:* dodaje się on do ciasta ażeby wzbudziwszy ją, napełnić je gazem węglowym.

Jakieby niebyło pochodzenie jego, *rozczyn* należy do klassy *fermentów*, to jest do ciał mających własność wywoływania fermentacyi. Zetknąwszy się z substancyami cukrowemi, znajdującemi się w mące, rozczyn wprowadza w fermentacyą ów cukier, z czego tworzy się spirytus i gaz węglowy. Gaz węglowy pozostaje uwięziony w ciaście, rozszerza i wydyma je. Gluten zaś nadaje ciastu tę sprężystość i klejkość, która dozwala mu się rozszerzać bez pękania, pod wpływem gazu węglowego. Po wypieczeniu gaz węglowy pozostaje uwięziony w chlebie i nadaje mu lekkość i pulchność.

Rozczyn czyli *kwas chlebny* otrzymuje się odkładając przy każdéj operacyi do osobnego naczynia małą część ciasta: w téj, zostawionéj saméj sobie przez pewien czas, rozwija się *ferment*, działaniem wody i ciepła. Gdy się nie ma pod ręką *rozczynu*, wtedy używa się w tym celu *drożdży* piwnych, które są bardzo czynnym fermentem. Do ciast delikatniejszych piekarze takich tylko drożdży używają.

Gdy się *rozczyn* otrzymało i kilkakrotnie wodą rozmięszało ażeby go równo rozprowadzić, wtedy przystępuje się do *miszenia*, według wyrażenia technicznego. Dodawszy jeszcze tyle wody ile jéj potrzeba do rozmiszenia całéj ilości mąki, dodaje się jéj ciągle częściami, wygniatając dokładnie rękoma. Kiedy już dostatecznie ciasto wymiszone zostało, zbiera się je w jedną massę, przewraca się wiele razy na tę i ową stronę, podnosząc je i dając mu spadać z wysoka, przez co powietrze wciska się do środka i równo się w niém rozchodzi.

Po dokładném wymiszeniu, ciasto rozdziela się na części, które ważą się po jednéj, ażeby każda miała prawem przepisaną wagę, i zostawia się je przez pewien czas, rozłożone na płótnach, deskach lub w koszach, niedaleko od pieca, ażeby je trzymać w wyższéj temperaturze. W tych okolicznościach fermentacya rozwija się i przyśpiesza, a bułki, zwiększają się stopniowo w objętości, napełniając się gazem węglowym. Tu potrzeba wielkiego doświadczenia ażeby niedopuścić zbytecznego rozwinięcia się fermentacyi, gdyż fermentacya octowa zamieniłaby fermentacyę spirytusową, a kwas octowy (ocet) ztąd wywiązujący się, czyniąc gluten płynnym, pozbawiłby chleb sprężystości i spójności, gazy zaś zamknięte w jego massie, łatwo wyjście znajdując, uleciałyby i ciasto by opadło, a pieczywo by się nieudało.

Kiedy fermentacya doszła do potrzebnego kresu, zatrzymuje się ją przez wsadzenie chleba do pieca.

Piece piekarskie mają zwykle formę elliptyczną i nizko są sklepione. Opalają je zazwyczaj drzewem bardzo suchem, mogącém dać żywy płomień. Opalanie powinno być starannie prowadzone, ażeby ogrzanie się pieca było jak najrówniejsze. Naznaczają do 300 stopni ciepło pieca, najodpowiedniejsze do pieczenia chleba. Ciepło to rozszerza gazy w ciaście zawarte, ulatnia część zbyteczną wody, a nadaje wiecéj spójności krochmalowi i glutenowi.

Powierzchnia chleba, wystawiona na bezpośrednie zetknięcie się z wysoką temperaturą, przyrumienia się lekko i tworzy to co nazywamy skórką, która utrzymuje formę ciastu nadaną. Wewnętrzne jednak ogrzanie się miękiszu nieprzechodzi 100 stopni. To też możnaby upiec chleb i bez pieca, używając do tego ciepła wody wrzącéj, w kąpieli wodnéj (bain-marie). Chleb taki byłby bardzo i strawny i posilny, lecz składałby się z samego tylko miękiszu gdyż skórka powstaje od działania wysokiéj temperatury pieca, która w części tylko przenika wewnątrz ciasta, z powodu że substancye organiczne złemi są przewodnikami ciepła.

Sposób wypiekania chleba i bułek, który opisaliśmy, powszechnie jest używany na świecie całym. Możnaby go wszakże nazwać barbarzyńskim, mając wzgląd na obecny postęp we wszystkich gałęziach przemysłu. Ta ciągła prawie, nużąca praca ludzi miszących ciasto, ten pot z ich ramion spływający, ten piec pełen przed chwilą węgli i popiołu, w którym po niedokładnem ich wymieceniu, chleb się teraz wypieka, cały ten zbyt prosty i wcale niewykwintny sposób postępowania, wymagał licznych ulepszeń. Przyszły one wprawdzie, lecz bardzo powoli i w części po wielkich tylko miastach przez piekarzy zostały przyjęte. Miszenie już nie odbywa się ręcznie lecz zą pomocą przyrządu mechanicznego, który dla robotników lekki jest do poruszania. Do wypiekania zaś wynaleziono specyalne piece, zwane *aerotermowe*, w których użyty opał nie pali się w tem samem miejscu gdzie się chleb wypieka. Ciepło dochodzi tam przez sklepienie z cegieł i utrzymywane jest ciągle w jednym stopniu, przez nieustanne krążenie ciepłego powietrza w około pieca. Przy takiem urządzeniu pieczywo daleko czyściej i daleko regularniéj odbywać się może, gdyż ciepło jednostajnie jest rozłożone, a przytem jest i możność doglądania całej operacyi, za pomocą termometrów stosownie umieszczonych. W piecu *aerotermowym* można wypiec dziennie 6500 funtów chleba, nie zużywszy więcej nad 750 funtów koksu.

Rolland piekarz w Paryżu, do takiego pieca wprowadził jeszcze jedno znaczne ulepszenie. Część jego spodnią na której kładą się chleby i bułki do upieczenia, jest okrągłą i ruchomą, za pomocą przyrządu lekko przez jednego robotnika poruszanego, obraca się ona ciągle i każdą stroną swoją zbliża się z kole do otworu pieca, co daje możność uskuteczniać szybko i łatwo wkładanie i wyjmowanie bochenków, bez używania owych drewnianych łopat niezmiernie długich i niezgrabnych.

Niepodobieństwem jest opisać różne rodzaje chleba i pieczywa, jakie po rozmaitych krajach i miastach i przez rozmaite klassy ludności są używane. Im delikatniejsza jest mąka i zupełnie od otrębów oddzielona, tem ciasto jest lżejsze i delikatniejsze.

Na chleb bierze się zwykle mąka *pszenna, żytnia, jęczmienna i owsiana* a w niektórych krajach *ryż i kukurydza* jeszcze.

Powiedzmy kilka słów o tych gatunkach zbóż, głównie na pokarm ludzki używanych.

Pszenica zwyczajna (Triticum vulgare vel sativum), hoduje się w całéj Europie, gdzie klimat i natura gruntu uprawie jéj sprzyja. Zasługuje ona na pierwszeństwo pomiędzy innemi zbożami, jako dająca mąkę delikatną, białą i pożywną, a obficiej od innych ziarn. Liczne bardzo są jéj podgatunki i odmiany, wymieniamy tu główniejsze tylko: *pszenica ozima*, zasiewana na zimę,—*pszenica jara*, siejąca się na wiosnę. *Sandomirka*, wysoko ceniona dla delikatności swej mąki i ciężkości swych ziarn, a utrzymująca się szczególnie w Sandomierskiem. *Pszenica nabrzmiała*, zwana także *angielską* lub *egipską*, mająca kłos gruby, krótki, prawie stożkowaty, niekiedy sino popylony, kosmaty, gałęzisty;—*pszenica polska*, wyrastająca na kilka stóp wysoko, odznaczająca się kłosem niepospolicie wielkim, ziarnem dużem obfitem w mąkę,—*pszenica drobno ziar-*

na, uprawia na w południowej Europie na kaszę i do warzenia piwa, *pszenica arnautka* a także *pszenica orkisz*, dająca ziarna okryte, to jest plewą spojone i wiele innych. Wszystkie te podgatunki i odmiany jakkolwiek między sobą różne, w wielu krajach Europy pod różną nazwą pielęgnowane, niewątpliwie z jednego i tegoż samego szczepu pierwotnego pochodzą, który pod wpływem klimatu, rozmaitości gruntu, odmiennej uprawy, etc: zmienił się w długim lat przeciągu i wydał tyle różnych odmian, a które przeniesione gdzie indziej zacierają swe pierwotne cechy i przymioty uszlachetniają je lub znikczemniają, stosownie do zewnętrznych wpływów miejscowych. Utrzymują się one jedynie staraniem człowieka i ciągłą uprawą, w stanie zaś dzikim żaden gatunek nigdzie nie rośnie.

Żyto zwyczajne (Secale cereale), od niepamiętnych czasów uprawia się w Europie, mianowicie środkowej i północnej i tem szacowniejszem jest zbożem, że produkcya jego nie wymaga ani tak dobrego gruntu, ani tak starannej uprawy jak pszenica, udaje się ono wybornie na rolach nieco piaszczystych. Znane agronomom główne jego ustalone odmiany są: *ozime, jare i krzewiaste* czyli *krzyca*. Mąka żytnia jest podstawą, a w miejscach wielu i głównym pokarmem klass roboczych, w całéj prawie Europie. Zawiera ona znacznie mniej glutenu aniżeli pszenna i ten oddzielić się od niéj w opisany już sposób nie daje, zawiera ona jeszcze pewien farbnik brunatny i więcej substancyi rozpuszczalnych; ztąd chleb żytni znacznie od pszennego jest ciemniejszy, ma zapach i smak sobie właściwy, odrębny, mniej rośnie i więcej jest zbity, a dłużej utrzymuje się świeżym aniżeli pszenny.

Jęczmień zwyczajny (Hordeum vulgare), zwany niekiedy *cztero rzędnym* i główne jego odmiany są: *czarny*, odznaczający się ziarnem czerniawem, *ryżowy* czyli nagoziarny, zwany niekiedy *orkiszem*, mający ziarna niespojone z plewami, *jęczmień sześciorzędny*, kłosy jego są krótsze, grubsze jak w zwyczajnym, prawie sześciogranne; *jęczmień dwurzędny*, uprawiany najpowszechniéj w środkowéj Europie, większą zaletę od dwóch poprzedzających mający, odznacza się kłosem długim, spłaszczonym dwurzędnym. Mąka jęczmienna na pozór nie wiele się różni od żytniej, lecz daje chleb ciężki i mniej smaczny, rzadko się więc na chleb używa, chyba, zmięszana z mąką żytnią.

Owies zwyczajny, (Avene sativa), ma liczne bardzo odmiany, uprawiane wszędzie, nawet na bardzo dalekiej północy i na wysokich górach, lecz mąka jego daje chleb najmniej dobry, ciężki zbity, czarny i gorzkawy. To też tylko w tych miejscowościach gdzie inne zboża uprawiane być nie mogą, i przez najbiedniejszą klassę mieszkańców na pokarm jest używany. Ustawy niektórych reguł zakonnych przepisywały mnichom jego użycie, zapewne w celu umartwienia.

Chleb jako i wszystkie wyroby przemysłu, może ulegać nieprawemu fałszowaniu. Nieraz do mąki zbożowej dodają mąkę kartoflaną, lecz przy wzrastającej cenie tych ostatnich, to fałszowanie znacznie się zmniejsza. Pod mikroskopem daje się to fałszerstwo łatwo spostrzedz, przez różnicę jaka zachodzi pomiędzy cząstkami krochmalu kartoflanego a krochmalu pszennego.

Tym sposobem da się poznać także i fałszowanie mąki pszennéj, mąką babową lub grochową.

Jeśli mąka cokolwiek uszkodzoną została przez złe jéj utrzymanie, można powrócić glutenowi część jego własności, przez dodanie do mąki niewielkiej ilość i hałunu. Hałun, w małéj proporcyi, nie będąc szkodliwy zdrowiu, czyni jednak chleb mniej smacznym. Ażeby odkryć jego obecność potrzeba spalić w tygielku kawałek podejrzanego chleba aż do zamienienia go w popiół. To spalenie niszcząc substancye organiczne, da łatwość wynalezienia nieorganicznych w tym popiele, a analiza chemiczna łatwo wykryje domięszany hałun.

Kiedy bułki i chleb cienki wyrabiają się z mąki gorszego gatunku, miękkisz nie ma tej białości a skórka téj złocistości, jaka cechować powinna prawdziwie dobry wyrób. Otóż piekarze wiedzą że mała ilość siarkanu miedzi do ciasta dodana, nadaje te własności mące niższego gatunku, i ułatwia wyrabianie z niéj pięknych bułek. Chemija posiada pewne sposoby wykrycia tego szkodliwego oszustwa, które w pewnych okolicznościach dla zdrowia sprowadzić może złe skutki.

(d. c. n.)

DANTE, WERGILI [1]

I BEATRYCZE.

W Boskiéj komedyi, w owym tajemniczym a wzniosłym hymnie porywu duszy, ku odwiecznemu i najwyższemu pięknu, w owem olbrzymiem arcydziele, gdzie, jak mówi Marioffi [2] „pomieściły się wszystkie namiętności tułacza Gibellina, wszystkie natchnione rozkosze kochanka Beatryczy, wszystkie najgłębsze abstrakcye męża nauki, cały jego wiek, całe serce, cała dusza.” Dante wybrał Wergilego za przewodnika swéj pozaziemskiéj wędrówki.

Wergili, postać poetyczna wydatna na tle życia starożytnego wskazuje mu, w dziedzinie ideału i świata nadprzyrodzonego wszystko, co mędrcowie Rzymu i Aten, rozumem i pierwotnemi wykarmieni podaniami, wiedzieli i wiedzieć mogli. Obadwaj ci zatem poeci i filozofowie mogli razem przebiegać podziemne a tajemnicze piekła dziedziny opisane już w szóstéj księdze Eneidy, mogli nawet dojść aż do wyżyn zadosyć uczynienia (Czyśca) i po pierwszych tegoż kroczyć stopniach.

Ale wiedza mistrza słabnąć zaczęła i pochód się utrudniał. Cienie nocy ich otoczyły. Dante, zmęczony drogą, znużony wreszcie ciężarem ciała, owéj adamowéj puścizny, którą w krainie duchów dźwigał z trudnością,—położył się, usnął twardo, aż przebudził go dopiero brzask nowego światła dziennego.

. . . .

W owéj godzinie, bliskiéj do poranka,
Gdy smutnie kwilić jaskółka poczyna,
Wspomniawszy może dawną boleść swoję;
Gdy dusza nasza wędrując, daleka
Od więzów ciała, myślami nie skuta,
Boską jakoby jest w widzeniach swoich;
Wydało mi się we śnie, że widziałem,
Jak wisząc w niebie orzeł złotopióry
Roztaczał skrzydła i runąć był gotów:
I zdało mi się, że byłem w tem miejscu,
Gdzie Ganimeda została rodzina,
Gdy do najwyższéj porwany był rady.
Myślałem w sobie: może po zwyczaju
Na łup tu godzi, i z miejsc innych może
Nie raczy wcale w szponach go unosić.
Potem się zdało, że orzeł po niebie
Zatoczył kręgi, spadł jak grom straszliwy,
Porwał i uniósł mnie aż w ognia sferę.
Tam, zda się oba płonęliśmy razem,
A urojony ogień tak doskwierał,
Że w końcu sen mój musiał być przerwany.
I nie inaczéj pewnie drżał Achilles
Ze snu ocknięty, wodząc w koło oczy,
I nie pojmując, kędy się znajduje,
Gdy od Chirona porwawszy śpiącego,
Matka w objęciach na Seyros zaniosła,
Skąd późniéj odejść zmusili go Grecy;
Jak ja zadrżałem, kiedy z oczu moich
Sen był odleciał, i stałem tak blady
Jako z przestrachu człek zlodowaciały. [1]

To też poeta podróżny, uśpiony w ciemnościach, a nagle zbudzony w świetle, znalazł się w nieznanych sobie krainach. Gdy wyobraźnia jego, przepełniona filozoficznemi złudzeniami mistrza, wystawiła mu we śnie, że orzeł Jowisza unosi go, jak niegdyś unosił Ganimeda,—Łucyja, (to jest łaska boża), uniosła go na nieznane wyżyny a postawiwszy u podwojów Czyśca, którego wejścia bronił anioł o mieczu ognistym, znikła, pozostawiając go w zdumieniu.

Wergili jeszcze był przy nim. Nie zapominajmy bowiem, że Wergili *Boskiej komedyi* nie jest wyłącznie Wergilim *Eneidy*. Nie, to Wergili czwartéj eklogi, oświecony brzaskiem światła, zapowiedzianego przez Sybillę,—Wergili neoplatończyk, posługujący się wraz z Seneką moralnemi zasadami św. Pawła dla rozszerzenia i udoskonalenia moralności Sokratesa i Arystolesa, który wraz ze szkołą aleksandryjską użył Ewangielii św. Jana, w celu uzupełnienia Timeosa platonowego,— słowem, jestto Wergili idealizowany w średnich wiekach, które, podług słów uczonego Ozanam'a, wystawiły tego poetę jako zbiór wszelkiéj wiedzy starożytnéj, jako przewodnika prawdy religijnéj śród świata pogańskiego,—słowem jako *symbol* rozumu.

Już tutaj za stosowne uważamy powiedzić, że symbolizm jest wewnętrzną treścią, duszą Boskiéj komedyi, osoby w niéj działające ściśle są historyczne.

Zboczenie poety z prostéj drogi życia, jego cześć szczególna ku Bogarodzicy i ku św. Łucyi, udział, jaki Beatrycze bierze w uczuciach poety, a Wergili w jego skłonności poetycznéj, należą do dziejów, bo są rzeczywiste. Lecz te rzeczywistości są zarazem postacią, symbolicznem znaczeniem. Wieszcz florencki jest najzupełniejszem wyrażeniem ludzkości chrześcijańskiej swego czasu z jej wzniosłemi instynktami, z jéj niewypowiedzianemi słabościami. Bogarodzica tak czule miłosierna, *miłosierdzia* jest symbolem, Łucyja—*łaski oświecającéj*. Beatrycze, która, jak sam Dante wyznaje, za życia podniosła duszę jego po nad gniew dusz powszednich, a po swojéj śmierci wprowadziła myśl jego do królestwa bożego, która w marzeniach objawiła mu się jako promień piękności boskiéj, nie mogła już być dla

---

[1] Napisy z czasów Rzeczypospolitéj Rzymskiéj i z pierwszych wieków chrześcijańskich przeważnie mianują poetę *Vergilius* (a nie Virgilius); w starszych rękopismach, mianowicie w medyceskim, także tylko zowie się *Vergilius*. Dopiero w średnich wiekach, od IX wieku mniéj więcéj począwszy, pisownia Virgilius weszła w używanie obok pisowni Vergilius.

[2] Biograf Dantego.

[1] Czyściec. IX. 13—42. Przekład p. Antoniego Stanisławskiego. Patrz: Boska komedyja (Poznań 1870). Niekiedy przytaczamy tu inne przekłady, jak całkowity, rymowany p. Korsaka i częściowy p. J. I. Kraszewskiego. Wogóle powiedzieć można, że przekład p. Stanisławskiego jest najwierniejszy, oddający tekst Dantego niemal wyraz w wyraz, (niby proza, miarami okraszona); gdy tymczasem tłomaczenie p. Korsaka jest nierównie poetyczniejsze, choć, a może właśnie dla tego, ma wiele omówień i zwrotów oryginalnych, dalekich od dosłowności.

kochanka—poety zwyczajną dziewicą ziemską, ale stała się istotą duchową i natchnioną, dziesiątą muzą, w średnich wiekach panującą nad całem gronem muz dziewięciu to jest *teologiją*. Nakoniec Wergili, w poetycznym pomyśle Danta ukazuje się jako symbol *rozumu*. Wergili więc i Beatrycza u Danta to *rozum i wiara*. W dziejach ludzkości wiara przez słowo wstępuje do naszej niewiadomości, obudza w niéj rozum i z biernéj potęgi powołuje go do czynu. Wpływem nieznacznym na pozór a ciągłym, wiara podtrzymuje chwiejące się kroki rozumu, a gdy rozum dojdzie do swych przyrodzonych granic, ona przyjmuje hołd rozumu, chociaż uzbrojonego całą mocą zdobytéj wiedzy naukowéj i praktycznego doświadczenia. Przez takie ścisłe przymierze rozumu z wiarą, wypełnia się cały rozwój ukształcenia duchowego tak pojedyńczych ludzi jak i całéj ludzkości. Ten szeroki pogląd filozoficzny włoskiego wieszcza rzuca główne światło na znaczenie roli, jaką grają w jego *Komedyi*: Beatrycze i Wergili.

Ten ostatni jest dalszym przewodnikiem poety w dziedzinie owych siedmiu dzielnic piętrzących się pod górą zadośćuczynienia. Mistrz zapytany przez ucznia o siedm grzechów głównych, ponoszących karę w każdej z tych dzielnic, tłomaczy mu podług Arystotelesa, Seneki i innych dawnych moralistów, istotę, przyczynę i skutki każdéj winy. Ale gdy przybyli do szczytu góry, przedsionka nieba, gdzie dusze oczyszczone cieszą się *przedsmakiem wiecznej radości*, Wergili powiada, że ten Raj ziemski tak jest różnym podług podań pogańskich, od wieku złotego i pól Elizejskich, uprzedzając ucznia swego, by już nie liczył ani na jego mowy, ani na jego rady.

Aż dotąd mógł nim kierować z pomocą swego rozumu i wiadomości, ale doszedłszy do tych wyżyn nie jest już w stanie niczego rozeznać. 1) Dante znów na widok tych jasności, do których nie dorósł ideał starożytności, zdumiony zwraca się do swego dawnego mistrza, a za całą odpowiedź spotyka się z podobnym swojemu wzrokiem osłupienia. Wergili wypowiedział już wszystko, co wiedział a sam znika. 2)

Słychać śpiew hosanna, ukazują się wielkie, tajemnicze postacie Apokalipsy i widzenia Ezechijela, siedm świeczników i siedm świateł, wyobrażających siedm darów Ducha świętego i siedm sakramentów, następnie dwudziestu czterech starców uwieńczonych kwieciem lilii, postępujących parami i śpiewających.

. . . . Bądź błogosławioną
Między córkami Adama: i niech na wieki
Błogosławioną będzie twa piękność. 3)

Potem cztery zwierzęta o sześciu skrzydłach, błyskających setkami oczu, godło czterech ewangielistów a pośród nich tryumfujących rydwan Kościoła. Po prawej stronie téj boskiéj kolasy trzy niewiasty, wyobrażające trzy cnoty teologiczne. *Miłość* była tak jasno—czerwonego koloru, że w ogniu rozróżnićby jéj nie można było od zarzewia; *Nadzieja* była zielona jak szmaragd; a *Wiara* biała, jak śnieg świeżo upadły. Po lewéj stronie cztery inne niewiasty w szkarłat odziane, przedstawiały cztery cnoty główne *Roztropność, Sprawiedliwość, Siłę, Wstrzemięźliwość*; wreszcie, na rydwanie, śród deszczu kwiatów, ręką aniołów sypanych, ukazała się niewiasta pod białą zasłoną, z czołem otoczonem liściem oliwnym w płaszczu zielonem i sukni jak płomień jaskrawéj. Była to, pod rysami Beatryczy,—*Teologija*. 1)

Spotkanie wieszcza z Beatryczą w świecie prawdy, niewinności i miłości, jest bez zaprzeczenia jednym z najpiękniejszych ustępów całéj poezyi nowożytnéj. Żal i wzruszenie tego człowieka, który po dziesięciu latach łez i rozpaczy widzi ubóstwianą kochankę na rydwanie tryumfu i chwały, upaja się jéj spojrzeniem i uśmiechem, nawet jéj wymówkami pełnemi zarazem rzewności i goryczy,—jego prośby, wstyd, przytłumione westchnienia i okrzyki, gasnące w téj czystej a wzniosłej strefie w obec uroczystego spokoju aniołów bożych,—jego cześć pełna podziwu na widok chórów anielskich, płynących w cichości, ze złożonemi rękoma, błagających młodéj dziewicy o łaskę, litość niebianki nad pogrążonym w boleści kochankiem:—cały ten obraz tak cudnie wdzięczny i porywająco potężny zarazem, przejmuje duszę niewymownem wzruszeniem. Za ramy do téj niezrównanej piękności sceny, służy niesłychanie świetne widzenie apokaliptyczne, którego najgłówniejsze rysy wyżéj przytoczyliśmy. Dante, jednym, iście wieszczym błyskiem wzroku obejmuje teraźniejszość, przeszłość i przyszłość, a zastawszy ludzkość w chwili upadku, przez pokutę wznosi ją w owe czasy głoszone usty proroków, kiedy spełniwszy swe przeznaczenie na ziemi powróci znów całkiem odrodzona, na łono Boga, by tam już wiecznem cieszyć się szczęściem.

Na ten widok Dante olśniony a bezprzytomny, zwraca się na bok nagle, lecz z poszanowaniem jak dziecko, gdy przestrachem lub boleścią zdjęte rzuca się na łono matki; chce powiedzieć mistrzowi, że każda kropla krwi drży mu w żyłach; — lecz Wergilego już nie było—opuścił go za ukazaniem się rydwanu Kościoła. 2)

Dante, idąc w ślad za Beatryczą i wznosząc się w przestrzenie i krainy, nieoświecone ideałem Homera, Platona ni Wergilego, musi wedle słów Pawła św. zrzucić ze siebie starego człowieka, chcąc wstąpić do nieba. Sterowany rozumem Danta ujrzał pierwszy szczyt Parnasa; wiara wskazuje mu drogę—stara się więc go opisać.

Uważać należy, że wewnętrzny charakter pierwszéj części Boskiéj komedyi wielce się różni od drugiej i trzeciéj. *Piekło* prawie całe poświęcone jest polityce. I dziwić się temu nie można. Pisał je Dante na wygnaniu pod wpływem jeszcze nieukojonego oburzenia, kiedy szło mu głównie o to, by w czytelnika przelać tę samą nienawiść i pogardę, jakiemi pałał ku swym nieprzyjaciołom. W *piekle* Dante cały oddycha jeno gniewem a zemstą Gibellina; ze wzrastającą, zda się, z każdym wierszem pogardą i żółcią napada na ojczysty gród swój, na Stolicę Apostolską, na Francyją, na Gwelfów, na Czarnych, a jednocześnie, na każdym kroku, broni swego stronnictwa, okrywając i osłaniając błędy i zbrodnie jego przywódców szatą litości i współczucia. Opuściwszy siedlisko mąk wiecznych, a wszedłszy w krainę *czyśca*, Dante, widocznie lepszego zachwycił powietrza. Nad poematem jego jakiś dziwny, błogi osiada spokój. Tu, poeta już nie znajduje wyrazów dosadnego przekleństwa, nawet wyrazów szlachetnego oburzenia czytelnik z ust jego nie słyszy. Po przeczytaniu pierwszéj części poematu, czujesz się przygnębionym niejako tyloma i z tak potężnym talentem przedstawionemi obrazami: jakieś omdlenie, obezwładnienie osłabia ci wyobraźnię, tu zaś, jakby orzeźwiony, ochotniéj już i z jaśniejszem okiem podążasz za myślą wieszcza. Cienie, z któremi się tu Dante spotyka, oddychają już tylko miłością a przebaczeniem; mniéj pragną wiedzieć o świecie doczesnym i wysyłają dość tylko radosne wieści. Im wyżéj poeta wznosi się w coraz bardziéj strome okolice górzyste, tem serce, wraz z różnemi warstwami atmosfery nabiera większéj lekkości i pogody, a gdy nareszcie, na samym szczycie, u podnóża Raju zbliża się doń Beatrycza, całe snopy niezwykłego światła padają na tło obrazu. I w istocie, cokolwiek stworzyła dotąd ludzka fantazyja, nic nie dorównywa blaskowi i świetności, zwiastującym jéj przybycie. Gdy ją ujrzał, na raz opuszczają go wszystkie ziemskie wspomnienia; z oczyma w jéj oczy wlepionemi rozpoczyna loty w sfery niebieskie, jéj nieśmiertelnem ciągniony spojrzeniem.

Z trzech części, składających tę epopeę prawdziwie boską, ta do któréj opisu przystępujemy, jest niezaprzeczenie najpiękniejszą, jest wszakże najmniéj znaną: mało jest bowiem czytelników, mających odwagę rzucić się z wieszczem niebiańskim w ten ocean światła,—gdzie wzrok olśniony poraz pierwszy aureolą Synai i Taboru, omdlewa rażony błyskawicznemi falami jasności,—gdzie wszystko jest nowem dla umysłów, przyzwyczajonych do ideału dawnego Parnasu,—gdzie co chwila zatrzymują się ci, których nauka astronomii, filozofii i teologii średniowiecznéj nie przygotowała do téj poezyi naukowéj. To też poeta florencki zaraz od drugiéj pieśni swego *Raju* daje czytelnikom przestrogę, by nie szli dalej, lecz powrócili do złudzeń starożytnéj poezyi, jeżeli dla zrozumienia go nie posiadają dostatecznéj wiedzy.

(d. c. n.)

¹) Czyściec, XXVII. 129—142.
²) Czyściec, XXIX. 55—57.
³) Czyściec, XXIX 85.—87.

¹) Czyściec, XXX 31.
²) Czyściec, XXX. 43—49.

O ubiorach.

— W dalszym ciągu podajemy opisy nowości, sprowadzonych przez magazyn p. Penkali. Kostium koloru cedrowego (zupełnie nowéj i prześlicznéj barwy zielonéj) Przód kostiumu do boków, ma dane u samego dołu trzy szerokie plisy z gros de Naple'u w odstępach i zakończone dużemi jedwabnemi guzikami, tylne zaś bryty są od góry zaplisowane (tak jak nasze wieśniaczki Willanowskie noszą swe spódnice). Tiunika téj sukni formy „tablier" bardzo długa, gdyż z przodu była prawie długość sukni; z tyłu jedwabne szarfy, z puklami spadającemi. Kaftaniczek lekko watowany do figury ze strzeleckim kołnierzykiem, tworzącym z tyłu rodzaj kapturka, boki i tył z wyłogami z gros de Neaple'u cedrowego koloru, zakończone dużemi guzikami. Rękawy szerokie obłożone materyją. Kostium „Vieille". Spódnica czarna rypsowa, u dołu któréj mieści się łokciowa falbana z wypustką atłasową koloru: vésuve; główka układana w kontrafałdy, dół falbany ubrany szerokim vieille (czyli układaniem w kontrafałdy), którego oba brzegi również podszewkowane, atłasem vésuve. Vêtement składało się z tiuniki angielskiéj, obszytéj frendzlą podpinaną na guziki; przy każdém podpięciu mieściły się dwa końce oszyte frendzlą, spadające jeden na drugi. Bluzka zapinana na przodzie, od prawego do lewego boku, na któréj szalowo dano plisowanie podszewkowane. Rękawy wązkie z szerokiem plisowaniem. Od tego plisowania, które się nazywa: „Vieille" kostium powyższy dostał nazwę. Kostium czarny z poult de soie, miał u dołu wolant w zęby wilcze z główką; tiunika oszyta piękną frendzlą podpinana była z tyłu, lecz więcéj z boku szeroką morową szarfą, spiętą dosyć nizko dwoma puklami i końcami. Staniczek francuzki z karoczkiem kształtu wachlarza. Rękawy wązkie naszyte falbaną szeroką blisko ręki. Kostium jedwabny z „Gros

Faille" czarnego miał, u dołu wolant łokciowéj szerokości plisowany; w miejsce tiuniki dano z tyłu podwójną buffę, podpiętą szarfą morową we dwa pukle i końce. Z przodu spadały długie poły prawie długości sukni, oszyte bogatą pasmanteryją dżetową i takąż frendzlą, na których oznaczono dwie duże kieszenie oszyte dżetami. Staniczek francuzki z karoczkiem w kształcie wachlarza; rękawy pół otwarte oszyte szeroką falbaną plisowaną. Pelerynka gazowa plisowana, oszyta frendzlą dżetową dopełniała stroju. Vêtement paletot „Polonaise". aksamitne czarne, zapinane na przodzie, z jedną klapą szenszyllową, było zupełnie wolne, tył zaś do figury miał poły nie zeszyte przez środek i jedna z nich ta co szła na spód, została zfałdowaną, druga zaś podpiętą za pomocą bogatych sznurów. Pasek z kokardą dopełniał ubrania. Rękaw otwarty, bardzo długi, podpięty na zgięciu łokcia dużą agrafą pasmanteryjną. Cały paletot oszyty szenszyllą. Oryginalny i nowy w swoim rodzaju paletot ten, sprowadzony z zagranicy, został już zimitowany w magazynie p. Penkali. Vêtement sukienne koloru „torchon". Tiunika angielska podpinana na guziki miała w około duże zęby dziergane, w których wyhaftowano dwoma kolorami liście dębowe. Kaftaniczek na pąsowéj flaneli lekko wpadający do figury, z długim spiczastym kapturem zwanym „Capucin".

Tyle na dziś o kostiumach i sukniach, zwrócić musiemy tylko uwagę naszych czytelniczek, że bardzo krótkie stany wyszły już z mody i że pasków z kokardami nie noszą już prawie pod pachami, jak to nie raz widzieliśmy na spacerach. Obecnie kapelusze bardzo się różnią od zeszłorocznych zimowych; fasony są tak dziwaczne że w ręku trudno poznać gdzie przód, lub tył, pomimo to na głowie bardzo ładnie wyglądają, trzeba tylko zastosować sposób czesania, który dziś jest zupełnie odmienny, gdyż zaprzestano nosić długich spadających koków. W ogóle paryżanki, które tak staramy się naśladować, bardzo mało noszą włosów cudzych, i przez to głowa o wiele bywa kształtniejszą. Do tego też czesania zastosowane są fasony kapeluszy. Widzieliśmy naprzykład kapotkę, „Capote bridée" czarną aksamitną, do około rondka miała wieniec z piór czarnych, główkę opasaną dwiema wstążkami morowemi koloru pawiego (zielono-niebieskawy). w dwóch cieniach. Opasanie z tyłu związane na trzy pukle i dwa końce, raczej cztery po dwa każdego cieniu. Przystrojenia dopełniała gałązka pączków róż, rzucona od niechcenia. Inna kapotka: „Capote sans bride" aksamitna czarna, rondko miała układane w drobne fałdki podbite materją różową, główka miękka bufiasta (w rodzaju biretu) z tyłu miała dwa karczki jeden wyżéj drugiego, podbite materją różową, z pod których wychodziły dwie szarfy czarne spięte w pętlicę z końcami bardzo długiemi. Rondko od główki oddzielone skręceniem aksamitnem, podbitem materją różową, z lewego boku stojące pukle na różowéj podszewce z wypuszczonym brzegiem. Piórko różowe uzupełniało przystrojenie. Kapelusz czarny aksamitny „Rabagas" (wziął swą nazwę od sztuki Wiktora Sardou). Rondko tworzy returs, objęte aksamitem blado niebieskim, (bleu malade) na którem mieści się plisowanie aksamitne czarne, fantazyjnie upięte i zachodzące nad czoło; deneczko okrągłe opasane wstążką gros grain; bukiet piór bleu malade przykrywający prawie całe denko, w środku którego mieści się upięte przy którém spadają dwa pukle długie z końcami. Szarfy czarne obecnie skręcają się przy wiązaniu kapelusza, tym sposobem wstążka układa się dobrze do twarzy i nie gniecie się.

Kapelusz ten jest to zwykły okrągły marynarski fason, tylko sposób przybrania go i noszenia jest cokolwiek odrębny. Kładzie się bowiem na głowę zupełnie z tyłu i to stanowi jego nowość i oryginalność. Kapelusz aksamitny „Marin" wiązany, koloru „Bleu Marin" (nasz granatowy). Rondko odwinięte, na nim dano węzeł ze wstążki lapis i aksamitu; na denku od lewéj strony oprócz wstążek i aksamitu szedł od czoła do tyłu wieniec z piór do cieniu, w końcu którego zupełnie w tyle, spadał duży pukiel ze wstążki lapis. Szarfy bleu marin. Kapelusz „Espagnol" okrągły, aksamitny czarny, rondko marszczone, główka miękka opasana wstążką morową upiętą z tyłu w pukle; dwa pióra: jedno spadające ku dołowi drugie przez środek na denko; egreta „bleu lune" z boku.

Dla młodych panienek widzieliśmy kapelusze kastorowe świecące lub matowe, opasane wstążką morową z kokardą i piórkiem.

Wszystkie te kapelusze są modelami, cena ich zatem jest wysoka, gdyż wiadomo jak to co francuzi nazywają „la confection" jest w Paryżu rzeczą kosztowną. Robotnik jest bez porównania droższy jak gdziekolwiek, lecz te same kapelusze naśladowane u nas, przy mniejszéj ilości wstążek, piór i kwiatów stają się o wiele tańsze. Widzieliśmy tam także prześliczne czepeczki. Zwrócił szczególniéj naszą uwagę czepeczek hiszpański „Mante Espagnole" czarny, z kokardą w dwóch kolorach np. bleu i rose malade,—lub Charlotte „Corday" czarny, z miękką główką z kokardą z crêpe de chine koloru bleu malade lub pękiem róż różowych. Albo diadem dla młodej mężatki ze wstążki niebieskiéj, z któréj zrobiono skręcenie, okalające głowę; z prawego boku duża kokarda z końcy wstążki i pączków róż, z pod któréj wychodzą końce ze wstążki i kokardek i zachodzą przez plecy i lewego ramienia, na którem przypina się ostatnia kokarda, zostawiając końce wolne. Kapturek do teatru z crêpe de chine, kaszmiru lub chusteczki włóczkowéj, którego fasonu trudno by nam opisać było, tak jest oryginalny, spodobał nam się niesłychanie. Pani Penkalowa kazała go zimitować w kilku kolorach a mianowicie, ponsowy z czarnemi lub pąsowemi kokardami; niebieski, biały z kokardami podług gustu, wreszcie czarny. Pelerynka „Charlotte Corday" ładna swoją prostotą, gdyż jest to zwyczajna krzyżówka przypięta u szyi spilką, związana na węzełek; na piersiach Karolina Corday, miała taką kiedy ją prowadzono na szafot, smutne wspomnienie łączy się z tą modą. Z materjałów zimowych przeznaczonych na suknie, i kostiumy widzieliśmy materjał „Vigogne" naturalnego koloru, w jedwabne pasy brązowe, lub rezeda".

Popeliny „broché pompadour" na vêtement z odpowiedniem materjałem na spódnicę. Cena od rs. 25 do 32. Do kostiumów tych przywiązany jest wyłączny fason, który zowią „à la vieille" a którego opis daliśmy wyżéj. Wełny gładkie „satin de laine" są we wszystkich kolorach od kop. 65.

Sèrge, we wszystkich kolorach najmodniejszych jako to „paon" „réseda" w kilku cieniach cedru, torchon itd. od kop. 85 do rs. 1. Satin de laine damassé, materjał angielski we wszystkich kolorach najmodniejszych ciemnych i jasnych, służące tylko na vêtement do wszystkich sukien cena 75 kop. Popeliny irlandzkie we wszystkich kolorach najnowszych, materjał do dziś bardzo modny na kostiumy i wizytowe suknie, zastępuje materje jedwabne; do tych sukien zastosowane są szarfy kolorowe i ubrania Watteau. Flanele angielskie na suknie,—szlafroki. Welwety we wszystkich kolorach od rs 1—50 do rs. 2.

Dodamy jeszcze iż kolory tegoroczne najmodniejsze są „Cedre, torchon, réseda, chêne czyli tak zwane kolory niepewne, i że stany noszą się dłuższe, w końcu że potworne koki, zastąpione zostały skromniejszem upięciem włosów, nie spadającym prawie do pasa.

Co do futer zaszła w nich bardzo mała zmiana. Szuby na długie zimowe okrycia z małym kołnierzykiem i takąż mufką pozostały te same, jako najpraktyczniejsze. Rękawy jeżeli szerokie dają się podwójne to jest jedne szerokie nie watowane albo na bardzo lekkiéj wacie, drugie wązkie krótkie na futrze lub grubéj wacie. Najwięcéj jednak używane są rękawy paletotowe z klapką, naśladującą rękaw szeroki. Dla młodych panienek przygotowano paletoty krótkie do figury, obłożone bardzo szeroko futrem, jestto wszelako fason nie bardzo praktyczny, gdyż pod taki paletocik do figury, nie da się nic pod spód włożyć, i dla tego jesteśmy pewni że paletociki luźne otrzymają pierwszeństwo. Materjały jedwabne na pokrycie są: „Gros de Faille" Gros de l'Inde i bardzo dobry i trwały materjał zwany „Drap de France. Cena materji z renomowanej fabryki Lijońskiej Bonnet'a wynosi od rs. 3 do 5 za łokieć. Atłasy i mory na pokrycia mało są noszone, chociaż wiemy z doświadczenia że bywają najtrwalsze. Z materjałów wełnianych są rypsy, popeliny Irlandzkie i bardzo trwały materjał zwany „drap cachemire" i diagonal. Cena tych materjałów od Rs. 1 do rs. 1 kop. 50 za łokieć.

Korespondencja.

Pani Michalinie Bry: Za przesyłkę książki należy się nam kop. 20.

Pani Julji S. Forma salopy z przesyłką pocztową kosztują rs. 1.

Pani Maryi Z. Bajki Jachowicza kosztują od kop. 75 do 2 rs. Rozrywki Tańskiéj każdy tom rs. 1 kop. 20 za opłatę pocztową dopłaca się kop. 30.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. *Ubranie wizytowe.* Suknia powłóczysta z blado zielonego jedwabnego rypsu, garnirowana szerokim plisowanym wolantem i koronkowym, przytwierdzonym kokardami. Tunika bufowana; stanik i rękawy szerokie, garnirowane białą koronką. Na prawem ramieniu kokarda z długiemi końcami, ze wstążki koloru sukni. Róża z długą gałązką liści na głowie.

Fig. 2. *Ubranie ślubne.* Suknia z białego rypsu jedwabnego, ze stanikiem kwadratowo wykrojonym. Kwadratowy wykrój uzupełniony jest szmizetką z illuzji i ogarnirowany falbanką jedwabną. Kokardy i prawdziwa koronka zdobią pół szerokie rękawy. Welon z szerokiej illuzji ozdobiony gałązkami mirtowemi i girlanda mirtowa, stanowią ubranie głowy.

N 42. „Przyjaciela dzieci" wyszedł z druku i zawiera: Nauka moralności.—Wspomnienie szkolne.—Przed obrazkiem stróża anioła, (wiersz).—Swięty Piotr Apostoł i Swięty Paweł, (z ryciną).—Walenty Jameray Duval.—Mosty i chatki bambusowe.—Czyny nauczające ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj.—Korrespondencje.—W dodatku:—Przygody Ryszarda Angielskiego Opowiadanie historyczne ułożone z powieści angielskich pisarzy. (Ciąg dalszy.)

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina kolorowa...

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 43 r. 1872.

MADONNA D'IMBEVERA

POWIEŚĆ Z XVI STULECIA

CEZARA CANTU

PRZEŁOŻONA Z WŁOSKIEGO

przez

JANA CHĘCIŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

— „Eh! przecież i bez niego możnaby wybudować kościołek!" zawołał jakby w natchnieniu syndyk.

— „*Cum quibus*? zapytał proboszcz, pokazując palcami liczenie pieniędzy.

— „Jest nas 953 dusze w tym kraiku, odrzekł Isidoro,—licząc jednego lira od głowy...

— „To niewystarczy nawet na lichą zakrystyjkę. zakończył proboszcz.

— „Oh! jeżeli o to idzie, ja dam cztery od mojéj głupiéj głowy, zawołał Cypryan, potrząsając pieniędzmi, zapłacą mi to konsumenci!..

— „A, ja dodał wikaryusz, będę zachęcał innych z ambony.

— „Nie! nie! przerwała hrabina, matka don Aleksandra; jam doznała cudownéj łaski Madonny, moją więc rzeczą zbudować kościół. Ty zaś panie syndyku, który zdajesz się tego pragnąć niemniéj niż inni, zajmiesz się głównie doprowadzeniem do skutku mojéj szczeréj ofiary.

Łatwo pojąć z jaką radością przyjęto tę nowinę. Po niezbyt długim czasie, kościół stanął na chwałę Madonny d'Imbevera. Gdyby don Alfons żył i mógł dokonać swéj zemsty, byłby z pewnością zbudował daleko okazalszą świątynię... lecz, wdzięczność za łaskę nieba, zdobyła się zaledwie na niewielką i niezbyt strojną budowę, którą jedyny tylko syndyk najpotężniéj się chlubił.

Skoro Sirtori z żoną i matką pierwszy raz przestąpili próg nowego kościoła, syndyk oprowadzał ich z upodobaniem po wszystkich zakątkach chwaląc ich, siebie, robotników i wszystko co mu popadło w oczy. Wikaryusz niezaniedbał też popisać się przy téj sposobności z krasomówstwem i wyciął dla fundatorów panegiryk, będący arcy-dziełem w swoim rodzaju. Kiedy mu państwo dziękowali, rzekł:

— „Wasza uprzejmość, jest istotnie jedyną mającą walor cyfrą, która dodana do zera mojéj nicości, może dopiero zaledwie coś stanowić." Potem wspomniał o mnóstwie starożytnych świątyń, począwszy od świątyni Serapisa aż do rotundy Agryppy; wyliczył kilka tuzinów budowniczych; z nadzwyczajną delikatnością wychwalał rodzinę Sirtorich i Perego, napomykając o Salomonie i Zorobabelu, nareszcie zakonkludował zachęcaniem panów okolicznych i wieśniaków, do wzniesienia obok kościołka Madonny d'Imbevera, drugiéj, mistycznéj świątyni, gdzieby uczucia wzajemnej zgody i poszanowania były mularzami, gdzieby przy pomocy wapna miłości braterskiéj i cegieł jałmużny, na fundamencie wiary, wzniosły się mury nadziei, wśród których kolumny pamięci z kapitelami wdzięczności, podtrzymywałyby kopułę pobożności, pod którą dzwony tradycyi zwoływałyby lud na uroczystość, w któréjby praca była modlitwą, serca ołtarzami, wesołość wspólna lampami, śpiewy radosne organami,.. i już sam niewiem co; powtórzę tylko, że panegiryk wikaryusza należał z pewnością do pierwszorzędnych.

Wracając z tych pierwszych nawiedzin, Sirtori z żoną i matką dostrzegli nadzwyczajny ruch około oberży rodziców Cypryana i Brygidy. Odbywało się tam wesele i to wesele w całem znaczeniu tego wyrazu. Brygida szła za mąż za młodego przystojnego ogrodnika, pozostającego w służbie u właściciela przędzalni o któréj wspominaliśmy wyżéj. Państwo wzięli to za dobrą wróżbę dla siebie i udarowawszy sowicie pannę młodą, z rozradowanem sercem powrócili do domu.

Fundatorowie kościołka, postanowili w każdą rocznicę wypadku znajdować się tam na nabożeństwie. Po modlitwie, naturalnie następowała przechadzka pod cieniami rozłożystych drzew lasku. Z początku, brali ze sobą przyjaciół, późniéj przyjaciele namawiali swoich znowu przyjaciół. Osoby przebywające lato na świeżem powietrzu, łączyły się z innemi, ci i inni zachęcali drugich i tak powoli kościołek Madonny d'Imbevera, stał się celem dorocznéj pielgrzymki całéj okolicy.

Co rok, ósmego września, tłum ludu i państwa z dalszych i bliższych stron, ożywia lasek a wieczorem, wszystko powraca do milczenia.

I znowu nazajutrz to przyjemne ustronie zostaje pięknem powabnem, ale i samotnem jak zawsze. Kilku robotników dokończa sprzątać namioty, kilku ciekawych próżniaków przypatruje się ich robocie; Jedynym śladem wczorajszéj uroczystości, bywają podeptane murawy, szczątki jadła, gdzie niegdzie pusta flasza, złamana gałąź kasztanu, trochę połamanych krzaków... i nic więcéj. Za rok znowu, nastąpi to samo – i tak daléj, Bogu wiadomo dokąd. Tak samo w przelocie wieków, przechodzą i znikają pokolenia. To co dziś dręczy się troskami tego świata, jutro już będzie zapomnianem; po hucznych odgłosach istnienia, następuje milczenie; po tłumach ludu, samotność—po życiu, grób.

KONIEC.

Z PAMIĘTNIKA LAT DAWNYCH

OPOWIADANIE UŁOŻONE

PRZEZ

Stanisława Nowińskiego.

Po nad piękną wioską w Rusi halickiej słońce zachodziło pogodnie, spiesząc do innych dzieci bożych, za jego widokiem stęsknionych i nareszcie zniknęło zupełnie z przed oczu pracowitych wioski mieszkańców. Zapadające promienie pieściły się jeszcze z czubami pagórków rysujących się w oddaleniu na horyzoncie i z cerkiewką drewnianą pod lasem, ale dwór z okalającemi go budynkami gospodarskiemi stał już w półcieniu, a w ogrodzie pełnym drzew odwiecznych było już zupełnie ciemno. Na kraju tylko klomby kwiatów jaśniały jeszcze i przypominały cudną wonią że to wiosna. Blady księżyc ukazał się na niebie.

W ganeczku przed domem siedziało dwóch szlachty, zajętych pogadanką. Gospodarz był ubrany po domowemu, w szaraczek, gość nieco okazalej miał kontusz z tatarska podcięty, buty safianowe żółte, pas słucki, złotem i srebrem świecący, a czupryna podgolona świadczyła że statecznie starej trzymał się mody.

— Ale powiadam ci panie Michale, mówił do gościa sędziwy pan Jan, będzie tu bitwa jakiej jeszcze nie było i tryumf co się zowie. Da Bóg że psom Tatarom odbijecie jeńców i jeszcze niewolników weźmiecie parę setek.

— Jakby stary wojak, z takim zapałem mówicie, panie Janie dobrodzieju, a to mnie zawsze dziwi, bo jak sami powiadacie nigdyście się wojną nie bawili.

— Ja książkom oddany, na wojnę nie chodzę, ale znam się na niej i jak umiem zagrzewam do boju z tymi psami niewiernymi. A cóż? Czy nie czytałeś waść książki mojej pod tytułem: Zachęta do rozniecenia ognia, którýby świat chrześcijański oczyścił od brzydkich gniazd pogańskich. Choć nie chodzę na wojnę, znam potrzeby ojczyzny, kocham ją bardziej niż żonę, niż dziecko i niż lutnię moją, jakże więc nie ma mię zapał ogarniać, gdy się na bój zanosi...

— Prawda, prawda, czytałem książkę waszą, panie Janie, i dziwiłem się nie mało, jak człowiek nie wojskowy może znać się tak dobrze na wojennem rzemiośle. Ej, panie Janie, wy już teraz wiekowy ale za młodu, nimeście osiedli w naszych stronach, kto wie jak to bywało? Wszakże to i wtedy gdy lutnię weźmiecie do ręki, zawsze tylko Turków i Tatarów, zawsze bitwy i boje opiewacie, zawsze tylko piękne czyny naszych bohaterów na myśl wam przychodzą.

— Tak to Bóg dał, że jedno drugiem się nagradza, ale co wojować, to i za młodu tem się nie zajmowałem. Książka i lutnia oto moje żywioły od młodości.

— A ja znowu, rzecze pan Michał, odkąd wyszedłem od OO. Jezuitów, prawie ciągle na koniu, prawie ciągle w obozach. Kiedy zawołają spieszę bez namysłu na ratunek ojczyzny i biję się jak mogę i jak umiem, ale co teraz, to nie podzielam waszego zapału panie Janie. Lata przechodzą, człek radby odpoczął w domowej zagrodzie. Już tyle razy krew przelewałem, czyż nie czas zacząć się goić przy żonie? Przyrzekliście mi rękę waszej córki...

— I skoro wrócisz z wojny, przerwie przyszłemu zięciowi pan Jan, dotrzymam słowa.

— Skoro wrócę ... ale czy wrócę? To pytanie. Tam kule nie wybierają, lecą na oślep. Nigdym jeszcze nie wyszedł z wojny bez szwanku, a teraz może wcale nie wrócę .. któż to wie? Lękam się sam nie wiem czego i wcale nie z ochotą idę.

— Wstydź się, powie pan Jan, niechże Marynka posłyszy, to śmiać się będzie z ciebie.

— Ej, i ona jakaś smutna...

— Smutna bo idziesz, a to termin nie lada, ale Boże uchowaj abyś sobie to miał brać za złą wróżbę.

— Już niech będzie jak chce, dałbym nie wiem co żeby mię ten barwin ominął tym razem. Próżno mówić o tem! Ojczyzna woła, trzeba iść, choćby się nie wiem jak nie chciało. Proszę was tylko panie Janie, raczcie mię zachować w pamięci, niezapo-

mnijcie że już jestem prawie waszym zięciem, i gdyby pan wojewodzic znowu jakie kroki czynił...

W tej chwili zawołano ich do wieczerzy.

— Panno Maryanno, rzekł Michał, siadając obok narzeczonej, ostatni to raz przed wojną widzimy się bo jutro skoro świt już mię tutaj nie będzie.

Dziewczę połknęło łzę i słowa nie rzekło. Były wprawdzie takie kobiety co z radością odbierały wiadomość o śmierci mężów swoich na polu chwały, ale Marynka miała serce prawdziwie kobiece, które wzdryga się zawsze na widok krwi i kiedy ponosi ofiarę dla ojczyzny, to się z tem nie tai, że mu ta ofiara ciężka, choć jej potrzebę uznaje.

Po wieczerzy nastąpiło pożegnanie. Najprzód gospodyni, pan Michał służby swoje oświadcza, prosi o zachowanie w pamięci.

— Niech Bóg prowadzi; rzekła pani Janowa, żegnając go krzyżem świętym i błogosławiąc na drogę. Jedź waszmość w imię boskie a wracaj zdrów i cały jako zwycięzca.

Pan Michał zbliżył się z kolei do Marynki, chciał mówić, lecz ta, nie mogła już powstrzymać długo tłumionego bólu i zakrywszy twarz rękoma, wybuchła płaczem. Pan Michał stał przed nią niemy. Ojciec i matka chcieli córkę pocieszyć, ale uciekła z komnaty, aby bez świadków puścić wolny bieg łzom.

Pani Janowa wyszła za nią co prędzej, w komnacie pozostali tylko gospodarz i pan Michał.

Michał stał jak skamieniały. Te łzy wiele mu mówiły i serce boleść ścisnęła.

— Iść? czy nie iść? pomyślał w duchu; tam bez jednego żołnierza odbędzie się wojna, a ona uschnie tutaj z trwogi i tęsknoty: cóż będzie gdy zginę?

I zaczęła się walka w jego sercu. Jedno słowo zdołałoby może sprowadzić go z drogi honoru. Ale walka trwała tylko chwilkę, poczucie obowiązku wzięło górę nad sercem. Upadł na duchu i czuł że tym razem nie będzie walczył z tak lekkim umysłem jak zawsze.

Pan Jan siedząc z boku patrzył na niego i czytał w jego twarzy jak w otwartej księdze. Po chwili wstał i rzekł:

— Wszystko w ręku Boga mój Michale. Klęska lub zwycięztwo, życie i śmierć. Na Niego zdaj wszystko i idź kędy cię wzywa ojczyzna. Bądź dobrej myśli, nie daj się zmiękczyć łzami kobiecemi, nie trać odwagi i męztwa.

Pan Michał dając folgę wezbranemu uczuciu rzucił się w jego objęcia.

II.

Pan Michał dzielnego miał konia i ten, na którym siedział jego pachołek, także nie był ostatni, sporo więc ubywało im drogi, ale panu Michałowi zdawało się ciągle, że za powoli jadą, bo ciężko mu było na sercu chciał więc uciec co prędzej z tych stron, aby wśród wrzawy wojennej, w gronie wesołych towarzyszów broni, zapomnieć o swoich troskach i rozerwać się cokolwiek. Nareszcie po dwóch dniach podróży stanął tam, gdzie się chorągwie zbierały. Witają towarzysze dawnego druha, pytają czy już po ślubie i nim odebrali odpowiedź, odchodzą, aby witać innych, świeżo przybyłych. Szlachta pojedynczo lub z pachołkami zjeżdża się tłumnie, panowie liczne prowadzą orszaki, wódz naczelny wszystkich zagrzewa. Wojsko pełne otuchy rusza w pochód, a ksiądz Jezuita z krzyżem w ręku jedzie przed wojskiem, bo to wojna za wiarę. Dostali języka, stanęli, sposobią się do bitwy. Tatarzy uszykowali się w półkole, a w wojsku wzniesiono ołtarz z bębnów, ksiądz odprawił mszę św. wielu spowiadał i komunikował. Wśród rycerskiego zapału co wszystkich ożywiał i panu Michałowi zapłonęło oko, krew wrząca zakipiała w żyłach, zdawało się że zapomniał o wszystkiem, co mu pierwej tłoczyło serce, że już nic nie widzi przed sobą, tylko ćmę Tatarów, z którą potykać się przyjdzie, że o niczem nie myśli, jeno o tem, aby mężnie walczyć i choć kroplą krwi przysłużyć się ojczyznie. Ale gdy do modlitwy ukląkł, nagle jakby z pod ziemi wynurzył się cały ten piękny obraz domowego szczęścia, który sobie w duszy wymarzył i stanął mu przed oczyma.

— Precz, precz odemnie złudna maro, rzekł sam do siebie z goryczą... teraz nie czas myśleć o szczęściu domowem, kiedy życie na włosku. Boże, polecam ci duszę moją jeżeliś mi śmierć przeznaczył, ale jeżeli możesz, oddal ten kielich odemnie...

Znowu smutki, znowu przeczucia. Wszak tyle razy walczył, tyle razy się narażał a zawsze wyszedł cało, dla czegoż miałbym uledz właśnie teraz na rozdrożu życia, w zaraniu szczęśliwszego żywota? Czyż na tym padole płaczu wszyscy upadać mają właśnie w chwili, gdy jaśniejsza zaświeci dola?

Skoczyli Tatarzy, zaciemniło się niebo od gradu pocisków i dymu. Huk strzałów, okrzyki walczących, jęki umierających zabrzmiały w powietrzu.

Pan Michał walczył dzielnie jak na rycerza przystało, obok niego młody Lubomirski, dziedzic wielkiego imienia, ale dopiero początkujący w wojennem rzemiośle. Przyskakuje Tatar, złocistą zbroją Lubomirskiego znęcony i ubija konia pod młodym rycerzem. Lubomirski pada. Pan Michał rad go ratować, jedną ręką chwyta upadającego za ramię, i powstać pomaga, drugą silnie godzi w Tatara. Ale niebezpieczeństwo wzmaga się każdą chwilą, tłumy pogaństwa następuje zewsząd.

— Ratuj siebie bracie, woła Lubomirski, nie troszcz się o mnie, bo dla mnie już pono nie ma ratunku.

— Nie opuszczę cię, mości kasztelanicu, odpowie pan Michał; choćby wbrew twojej woli, tylko trzymaj się po rycersku.

To mówiąc rzucił się jak lew, ciął mieczem w prawo i w lewo, jednego strącił z konia drugiego na śmierć zarąbał.

— Bóg ci zapłać, rzecze młodzieniec, chwytając za cugle konia tatarskiego i wskakując na niego, ocaliłeś mi życie, obym ci się mógł kiedy odwdzięczyć...

— Mniejsza o to, ale słyszysz waść okrzyki naszych? zwyciężyliśmy.

— Victoria! Victoria! bij! kol! siecz! wytnijmy ich do nogi! Naprzód! Naprzód!

Na ten okrzyk, który zwiastował zwycięztwo nad Tatarami, obaj rycerze omal się nie uściskali z radości, taki ich zapał ogarnął.

Pan Michał bił się dotąd dzielnie, ale robak smutku czy złego przeczucia serce mu toczył, nie był więc dziś pełen ochoty jak dawniej, nie szedł do bitwy jak do tańca. Dopiero okrzyk zwycięzki towarzyszów broni wzbudził w nim dawną naturę; jak podskoczy na siodle, jak się wyprostuje, jak śmignie szablą po łbach tatarskich, zdawało się że całe wojsko swoją piersią odeprze.

— Tatarzy się cofają, zawoła Lubomirski, ale jak my dostaniemy się do swoich?

— Jakto? Nas tylko dwóch tutaj?

— Zadalekośmy się zapędzili, jesteśmy odcięci powie młodzian.

— Trzeba sobie drogę torować szablą! krzyknie pan Michał, tylko śmiało a ostrożnie. Kiedy się nam dotąd nic nie stało, da Bóg że wyjdziemy cali z tej tarapaty.

— A więc naprzód w imię boskie!

Niebezpieczeństwo było groźne. Tłumy tatarstwa zewsząd ich otaczały i przegradzały od swoich, zamiar więc przedarcia się przez zbite szeregi nieprzyjacielskie, był prawdziwie szaleństwem. Pan Michał rzucił się na oślep pomiędzy pogan i walczył zacięcie, a obok niego młody Lubomirski także nie żałował szabli, bo niebezpieczeństwo dodawało mu siły. Tatarstwo ustępujące zdumiało się szaloną dwóch ludzi odwagą i nagle stanęło. Ile tam trupów padło, ile krwi dwie polskie wytoczyły szable ... ale o ratunku ani myśleć.

Lubomirski i Michał spojrzeli po sobie.

— Bądź zdrów, przyjacielu! zawołał pierwszy.

— Bądź zdrów, odrzekł Michał, zobaczymy się w lepszym świecie!

— W tej chwili Lubomirski zachwiał się i spadł z konia, ugodzony z janczarki—i panu Michałowi ciemno zrobiło się w oczach... Wycie uciekających przed zwycięzcami Tatarów, zagłuszyło radośne okrzyki polskiego rycerstwa. Tłum zbity pierzchających porwał z sobą bohatera i oszołomionego uniósł gdzieś daleko.

III.

Było smutno, jak zwykle w jesieni, gdy drzewa pożółkną, a wicher harce wyprawia, jak zwykle, gdy smutna wieść gromem w serca ludzkie uderzy i spali na popiół wypieszczone marzenia, które już tak blizkiemi urzeczywistnienia się zdawało. Chociaż w owych czasach miłość nie tak jak teraz pojmowano, Marya cierpiała okropnie, tem bardziej, iż o losie Michała nic pewnego nie można się było dowiedzieć. Jedni utrzymywali, że zginął, drudzy, że dostał się do niewoli, ani dojść po czyjej stronie prawda. Cierpienia Maryi były cierpieniami jej rodziców. Ojciec jak zwykle książkami i gospodarstwem zajęty, rzadziej jednak niż dawniej bierze się do lutni, aby nie rozrzewniać smutnej i tak jedynaczki. Matce, która nawykła widzieć ją zawsze wesołą i kwitnącą, każde westchnienie córki wyciska łzy z oczu. Ach, a ileż to było tych westchnień co dzień, co godzina.

Kiedy tak wśród smutków powoli wlecze się jesień, zjawia się niespodziewanie w domu państwa Janów, Wojewodzic daleki sąsiad, który już dawniej zwrócił był uwagę na wdzięki Maryi. Ubrany po francuzku, w trójgraniastym kapeluszu, z manierami francuzkiemi i cudzoziemską układnością, a do tego wszystkiego w wielkiej upudrowanej peruce, był nielada zjawiskiem w tym zakącie, to też szlachcic starej daty żegnał się przed nim jakby zobaczył Belzebuba. Pan wojewodzic usiłował podobać się pannie, sadził się na komplementa francuzkie i modne androny, popisywał się z rozumem za granicą nabytym, sądząc, że tym sposobem najprędzej dopnie swego. Niepewność co do losu pana Michała obudziła w nim nadzieję, którą mu przed rokiem odebrano, i zachęcała do wytrwałości w przedsięwzięciu. Ale właśnie ta okoliczność, właśnie to, że o losie pana Michała ciągle sprzeczne obiegały wieści, było mu największą przeszkodą do osiągnienia zamierzonego celu, bo Marya nie przestawała się łudzić, że Michał powróci. Ciągle o nim marzyła, we śnie i na jawie miała go w pamięci, na lada szelest biegła do okna myśląc, że to on przyjeżdża. Łatwo pojąć jakie wrażenie sprawiał na niej wojewodzic, z jaką niechęcią odbierała jego hołdy, jaką boleść zadawało jej jego natręctwo. Przyszło nawet do tego, że nie mogła znieść jego widoku, że kryła się lub udawała chorobę, aby nie być zmuszoną słuchać jego niedorzeczności. Pan wojewodzic jednak nie zrażał się tem bynajmniej i bywał coraz częściej,

sądząc zapewne, że jego obecność zatrze z czasem w sercu Maryi dawne wspomnienia.

Marya była w rozpaczy. Czuła, że sama nie da sobie rady, a nie wiedziała co począć. Wreszcie Bóg zesłał jéj myśl dobrą. Czy to dla tego iż do ojca więcéj miała zaufania, czyli też iż od niego skuteczniejszéj spodziewała się pomocy, pod jego ucie-kła się opiekę.

— Ojcze! ratuj! zawołała padając mu do nóg. Raz tylko kochałam i więcéj nie potrafię. Jeżeli pragniesz szczęścia swojego dziecka, ochroń mię od tego natręta, który przychodzi tu mącić mi spokój.

— Moje dziecko jedyne, rzekł ojciec podnosząc ją z czułością, czyż już nigdy smucić się nie przestaniesz?

Marya wsparła głowę na piersi ojca i szeptała z cicha słowa skargi, żalu i błagania. Pan Jan wysłuchał ją, rozważył rzecz, i zrozumiał zapewne dziewicze uczucia, swojéj jedynaczki, bo nieszczędził słodkich słów ojcowskiéj pociechy.

Inaczej myślała pani Janowa. Ona pierwsza straciła nadzieję aby pan Michał mógł powrócić, skoro dotychczas nie dał o sobie wiadomości, a widząc, że pan Wojewodzic dobrą jest partyą, bo to i imię i majątek i koneksye, pomyślała, że dobrze byłoby wydać za niego Marynkę, i z każdym dniem stawała się mu coraz przychylniejszą. Poczciwa kobieta, pragnęła tylko szczęścia córki, pragnęła wydać ją za mąż, aby jéj tak więdnącą nie widzieć. Wychowana w staroświeckich zasadach, nie pojmowała miłości takiéj jaką serce Maryi pałało, bo sama nigdy jéj nie zaznała. Sierota bez ojca i matki, wychowana z woli opiekuna w klasztorze, nauczyła się tam ślepego posłuszeństwa, i ani razu w ciągu całego życia swego przeciwko niemu niewykroczyła; zagadką było dla niéj jak można nie chcieć, nie pragnąć tego czego chcą i pragną ci, którzy mają prawo rozkazywać. Męża swojego poznała dopiero na kilka godzin przed ślubem, i przyjęła go z uległością, czyż mogła przypuścić, że córka odrzuci ze wstrętem tego, którego ona jéj wskaże? Wszakże przyjęła pierwszy jéj wybór... tak... ale pierwszy wybór był przypadkiem szczęśliwy, urzeczywistniał przypadkiem wszystkie marzenia, nowomodnie przez ojca wychowanéj jedynaczki, a drugi...

W tem turkot rozlega się na dziedzińcu... Nie Michał to jednak, ale pan wojewodzic, tym razem z jakimś barczystym jegomością.

— Prezentuję państwu mojego przyjaciela, pana Jacka Bylinę, rotmistrza chorągwi królewskiéj, który także był w bitwie pod Kuczwałem i widział na własne oczy...

Marya okryła się rumieńcem, domyśliła się, że usłyszy potwierdzenie okropnéj wieści, któréj tylu zaprzeczało.

— A tak, mości dobrodzieju, mówił piskliwym głosem barczysty rotmistrz, widziałem na własne oczy.. a nawet własnemi rękoma poniosłem do grobu, mości dobrodzieju, tego dzielnego rycerza. Zginął jak on sławny Leonidas.

— Jak to? doprawdy widziałeś waszmość, że pan Michał zginął? zagadnie żywo gospodarz.

— Aj, aj... i więcéj takich było co widzieli, odrzekł zagadnięty; a wszyscy gotowiśmy stwierdzić przysięgą, mości dobrodzieju, że tak było a nie inaczéj.

— Otóż widzicie państwo, rzekł z kolei wojewodzic, że nie ma nadziei aby pan Michał mógł powrócić, ośmielam się więc ponowić moje dawniejsze oświadczyny o rękę panny Maryi i tuszę, że dłużéj nie będziecie zwłóczyć.

— Marya zadrżała i spojrzała błagalnym wzrokiem na ojca. Pan wojewodzic zwrócił się do pani Janowéj i wśród tysiącznych ukłonów prosił o prędką odpowiedź.

— Z mojéj strony, powie pani Janowa, chętnie daję pozwolenie i błogosławieństwo macierzyńskie, bo widzę, że nie ma co namyślać się dłużéj i czekać na powrót ś. p. pana Michała, skoro jak pan rotmistrz dobrodziéj powiada, zginął, ale chociaż wiem dobrze co mojemu dziecku do szczęścia potrzeba, nie mam prawa stanowić sama o losie Marynki; oto jéj ojciec, niechaj on rozstrzyga.

— Dziękuję, stokrotnie dziękuję, zawoła wojewodzic; słowo matki najwięcéj znaczy, spodziewam się zresztą, dodał zwracając się do pana Jana, że i waszmość tego samego zdania, a córka spełni wolę rodziców.

— Nie, panie wojewodzicu, nie jestem tego samego zdania, odrzekł pan Jan. Marynka nie czuje dla waszmości takiego afektu, jaki do zawarcia świętego aktu małżeństwa koniecznie jest potrzebny, a sercu trudno rozkazać.

Marylka odetchnęła, jakby jéj kamień spadł z serca.

— Dawniéj, odezwie się nieśmiało pani Janowa, ani mowy nie było o afektach przy zawieraniu związków małżeńskich i mowy być nie wogło, bo państwo młodzi dopiero się przy ślubie poznawali, a małżeństwa lepsze bywały niż teraz...

— Tak, rzecze pan Jan, dawniéj przymuszano, ale ja przymusu za nic w świecie nie użyję. Czy jejmość chce aby przepłakała całe swoje życie? Za nic w świecie przymuszać jéj nie będę i na związek taki, który byłby krzywoprzysięstwem, nie zezwolę.

— Pani Janowa zanadto nawykła ulegać mężowi, aby śmiała protestować przeciwko jego wyrokowi, chociaż go w sercu potępiała. Pan Jan zwrócił się wreszcie do konkurenta.

— Daruj waszmość, panie wojewodzicu, że się tak stało. Widzisz sam, że tu i o twoje szczęście idzie. Szanuję cię i w innym razie miałbym sobie za szczęście nazwać cię moim zięciem, ale tak jak jest, niepodobna; nie chcę być katem własnego dziecka. Jeszcze raz proszę, wybacz mości wojewodzicu, nie rób sobie żadnéj nadziei i poszukaj szczęścia gdzieindziéj, a nas zostaw w pokoju.

— A więc rekuza, rekuza, rzekł przygryzając wargi pan wojewodzic. Ha, niech i tak będzie. Prosiłem dwa razy, już trzeci raz pewno nie przyjdę i narzucać się nie będę, bo mówiąc prawdę nie było o co tak bardzo się ubiegać.

— Dlatego właśnie, pochwyci prędko pan Jan prosiłem waszmość, przez wzgląd na własne dobro waszmości, abyś raczył wybić sobie z głowy te konkury.

— Służba, służba panie sąsiedzie, zawołał zarumieniony jak pons. Chodź rotmistrzu, nie bądźmy dłużéj natrętni.

Wyszli prawie bez pożegnania, a gdy wsiadali do kolasy pan wojewodzic żywo dotknięty odmową, którą za zniewagę poczytywał, jąkał pieniąc się z gniewu.

— Poczekaj szlachetko, nauczę ja cię co to odmawiać córki takiemu jak ja...

Uszy mu obciąć! krzyknął rotmistrz podzielając najzupełniéj oburzenie wojewodzica.

-- Co mu zrobię, nie wiem jeszcze, odrzekł wojewodzic trzeba się nad tem namyśleć, ale że mu nie daruję, tego niech będzie pewnym.

IV.

Po ostatniéj bytności pana wojewodzica, jakieś bolesne niezadowolenie rozgościło się w domku państwa Janów, który i tak już był smutku siedzibą. Pani Janowa chociaż ze zwykłą uległością poddała się woli męża i bynajmniej nie myślała protestować, czuła się zranioną w swojem uczuciu macierzyńskiem, a poniekąd nawet obrażoną. Stosunek więc pomiędzy nią a mężem, chociaż nie przestał być biernym, stał się naprężonym; chłod obojętności i niechęci rozdzielił ich serca i prawie obcemi sobie uczynił. Widząc to Marya, chciała nagrodzić matce przykrość, jaką jej sprawiła mimowolnie, dalejże więc udawać spokojność i wesołość, dalejże brać się do dawnych zatrudnień, wyręczać matkę, gospodarować w kuchni i spiżarni, dalejże przymilać się jej wszelkiemi sposoby na jakie się tylko zdobędzie serce dziewczęce, a unikać pieszczot ojca. Niewinny ten podstęp odniósł przynajmniej w części pożądany skutek, bo matka przebaczyła córce, kochała i pieściła ją jak niegdyś. Z tem wszystkiem smutno wlokła się nudna zima, nie weselszą była i wiosna, zdawało się że już nigdy nie będzie końca ustawicznym westchnieniom i łzom, które wszyscy troje wylewali, kryjąc się z tem nawzajem przed sobą. W połowie wiosny, rocznica wyjazdu pana Michała na wojnę, odnowiła niezagojone rany zwłaszcza w sercu biednej Maryi. Wreszcie i wiosna miała się ku schyłkowi.

Dzień św. Jana corocznie obchodzono z wielką uroczystością jako dzień imienin ojca. Państwo Janowie żyli skromnie, nie wyprawiali sławnych w owe czasy biesiad, nie przyjmowali przez cały rok prawie nikogo, ale w tym dniu bywał u nich zawsze wielki zjazd sąsiadów, wesołéj, hulaszczej braci szlachty. Zwyczaj ten tak był powszechnie wiadomy że nigdy, i nikogo nie zapraszano osobno.

Przygotowania do obchodu imienin robiono zwykle na kilka dni przedtem, niby to w sekrecie przed ojcem. Podobnież i tego roku, prawie na tydzień przed św. Janem, gospodyni lubiąca wystąpić z tak rzadką do popisu mającą sposobność, zaczęła układać projekt biesiady. Porozumiawszy się z córką, która jak się przynajmniéj zdawało, podzielała myśl matki, i szczerą pomagania jéj okazywała ochotę, pośpieszyła szukać nieużywanego od roku zwoju przepisów i sekretów kucharskich, Marya zaś pozostała sama w ganeczku. Serce udręczone chętnie składa się do marzeń, a myśl jednostajną rzeczywistością znudzona, rada mu wtoruje. Na niebie zajaśniały gwiazdy, wpatruje się w nie Marya, szuka téj która dawno za swoją obrała, i téj która niegdyś obok jéj gwiazdki świeciła. Dzisiaj obiedwie tuż przy sobie jaśniały i migotały, jakby biedz chciały ku sobie.

— Ta moja, rzekła Marya sama do siebie; a tamta? czemu tak jasna tak droga? Cóż to znaczy? Czy on wróci? czy już wraca może? Serce tak mówi, i gwiazdki tak mówią—ale czy serce nie kłamie? czy gwiazdki nie zwodzą? Nie... nie... o! on wróci... ja wiem, i zagoi ranę dotkliwą, którą niepewność jego losu sercu memu zadała.

W téj chwili pan Jan powrócił z pola strudzony, przyszedł na ganek, usiadł przy córce i ocierając pot z czoła, zapytał:

— I czegóż tam szukasz po niebie? Co ci tam mówią gwiazdki?

Marya ze łzami w oczach opowiedziała zjawisko.

— Wszystko w ręku Boga odrzekł starzec, patrząc z uśmiechem ku dwom gwiazdkom wskazanym; wszystko w ręku Boga. Czekaliśmy rok, czekajmy jeszcze, może wróci wtedy, gdy go się najmniéj spodziewać będziemy... alboż nie było takich wypadków?

W wilję św. Jana wszystkie przygotowania do uczty były już pokończone. Stosy zwierzyny, kołacze przepyszne, cukry wspaniałe, wszystko to stało w pogotowiu. Gospodyni poglądała z tryumfem na

swoje dzieło. Nazajutrz wszyscy wcześniej jak zwykle powstawali, bo wszyscy od rana zjeżdżali się goście, ale tym razem spóźniali się jakoś, nie wiedzieć dla czego, bo pogoda była prześliczna. Już się miało ku południowi, a jeszcze nikt nie przyjechał; już południe minęło, a na gościńcu ani turkotu nie słychać, ani kurzawy nie widać.

Pani Janowa w strachu, aby się jadło nie popsuło. Te imieniny miały ją wsławić, a do tego może miała nadzieję, że pomiędzy gośćmi upatrzy kogo coby lepiéj niż pan wojewodzic przypadł Marynce do serca... Daremna nadzieja, daremne czekanie!

Pan Jan niespokojny i smutny zaglada w okna, wychodzi na ganek, gości jak nie ma tak nie ma. Wrócił wreszcie do izby, wsparł głowę na ręku, zamyślił się, bada pewno w głębi serca, co mogło być przyczyną niełaski sąsiadów, czem ich gniew ściągnął na siebie, czem ich obraził? Nic takiego przypomnieć sobie nie może. Nagle pobladł i zerwawszy się z miejsca, zaczął szybko przechadzać się po komnacie. Cóż w nim sprawiło tak nagłe poruszenie? czy się czego domyślał? Czy zgadł może prawdziwą przyczynę? W tem turkot zabrzmiał na dziedzińcu przyjechał gość, ale gość należący prawie do rodziny, był to Proboszcz miejscowy; oprócz niego nikt więcéj się nie pojawił.

Poczciwy proboszcz, przyjaciel rodziny, pojąć nie może postępku szlachty, który widocznie był skutkiem zmowy. Pociesza jak może, uspakaja jak umie, usiłuje zawiązać gawędkę, ale słowa pociechy ulatują z wiatrem, gawędka się nie klei. I znowu wszyscy chodzą smutni jak cienie, dumają i milczą. Dłużej już czekać nie można z obiadem, pani Janowa każe wreszcie przynosić potrawy. Zastawiono stół, omal jéj serce nie pękło gdy na nim ujrzała szczupłą liczbę nakryć, lecz więcéj nie było potrzeba. Nim zasiedli do stołu pani Janowa przypomniała sobie, że przy zmartwieniu jakie dzień dzisiejszy jéj sprawił, zapomniała złożyć mężowi swoje życzenia. Zbliżyła się więc do niego, sztywnie jakoś i zimno kilka słów wyrzekła. Podziękował jéj również zimno, snać nie przemówiła mu do serca. Za matką stała Marya, lecz wzruszenie mówić jéj nie pozwalało. Łzy obfite zastąpiły wymowną oracyę, a własnoręczna robótka, na wiązanie ojcu złożona, świadczyła, że już dawno o jego imieninach myślała. Pan Jan rozrzewnił się, uścisnął córkę, obejrzał podarek; widok jego zbawienny wpływ wywarł na pognębionego smutkiem starca. Długo wpatrywał się w robótkę córki, zapewne podziwiał jéj haft misterny; tak, ale myśl nim wyrażona silnie widać przemówiła mu do duszy, bo zmienił się na twarzy, przybrał wyraz zwykłego spokoju i rzekł z uczuciem, pokazując księdzu otrzymane wiązanie:

— Wiara, nadzieja i miłość... aby zawsze królowały między nami!

W tem jakiś hałas dał się słyszeć na dziedzińcu.

— Chwała Bogu! ktoś przyjechał... rzekł Proboszcz, chwała Bogu; przecież choć jeden... może za nim i więcéj przybędzie, może nam przynajmniéj wyjaśni tajemnicę..

Pani Janowéj serce zadrgało:

— Choć jeden...

— Daj Boże aby z dobrą nowiną... westchnął gospodarz.

Drzwi się otwarły... wszedł człowiek w stroju tatarskim, strudzony zapewne drogą daleką, blady, z twarzą pooraną troskami. Marya krzyknęła i omal nie padła zemdlona; zerwała się i napowrót padła na krzesło.

— Wszelki duch pana Boga chwali! żegnała się pani Janowa; przebóg! kogoż to widzę? Proboszcz wstał także ze zdumieniem przypatrywał się obcemu. Pan Jan poskoczył ku niemu:

— Michale! to ty? o Boże wielki! ciebież to widzą oczy moje? Michale! niechże głos twój usłyszę.

Pani Janowa skoczyła do Maryi, ratuje mdlejącą. Michał zbliżył się do niej, wziął ją za rękę .. otwarła oczy, podniosła się zwolna i dłonie dzięczynne w milczeniu wzniosła ku niebu.

— Przecieśmy się doczekali... rzekła potem, witając ze łzami przybysza; przecie! Ach jakże to było długo ... jak smutno...

Spojrzała na ojca; wzrok jej wiele mówił, była tam i radość i pokora i tryumf, wszystko razem zmięszane. I pani Janowa na męża patrzyła; słowa zamarły jej na ustach, ale serce mówiło:

— Dobrześ zrobił, dobrze się stało żeśmy czekali. Pan Jan niepozwolił Michałowi przywitać się z Proboszczem, po raz już dziesiąty porwał go w objęcia, ściskał na nowo i płakał z radości. Lecz gospodyni zaprasza do stołu. Siadają wszyscy. Michał pomiędzy panem Janem a Maryą.

— Nie jestem całkiem wolny, rzekł pan Michał kończąc pierwsze danie, bo tylko mię po okup puścili I to szczęście że mi zawierzyli! Muszę czemprędzej wystarać się o pieniądze i sam je zawieść, bom na to dał słowo. A jeżeli nie zbiorę pieniędzy ile mi potrzeba, dorzucił z uśmiechem, to wrócę do niewoli.

Wszystko co mamy, rzekł pan Jan, uważaj jak swoje i weź ile ci potrzeba.

— To nic, odpowiedział, bo mówionoby żeście sobie zięcia kupili; to nic, ale mam nadzieję że sobie poradzę, bo mam krewnych bogatych, mam wuja co na kilku wsiach siedzi, siostrę za mężem której się dobrze powodzi, ciotkę która najprędzej mogłaby mi dopomódz.

— Pan Michał, rzekła nieśmiało Marya, już nas nie uważa jak dawniej za najlepszych przyjaciół, skoro gardzi naszą pomocą.

Zagadnięty tłumaczył się, ponowił zapewnienie miłości i wierności dozgonne, dziękował że na niego czekano.

— Amen, zakończył proboszcz, a teraz ... zdrowie solenizanta!

— Ach, ach! to dziś wasze imieniny panie Janie, zawołał Michał, a ja o niczem nie wiedziałem.

Na nowo zaczęły się uściski i wiwaty.

— Lecz cóż to? dla czego imieniny nie obchodzą się tak jak dawniej? dla czego nie ma gości jak zwykle?...

— Waszmość staniesz za wszystkich, odpowiedział mu proboszcz, widząc że pan Jan nie może zdobyć się na odpowiedź. A że nikt więcej nie przyjechał, to zdaje się być sprawką pana wojewodzica, który obrażony iż mu powtórnie szarą podano polewkę, pewno przez zemstę podmówił szlachtę, aby w tym dniu uroczystym nie uczciła szanownego naszego gospodarza.

Skutkiem tego wyjaśnienia, wywiązała się gawędka, która wszystkich żywo zajęła. Jeden pan Jan mały brał w niej udział, jakaś zgryzota tajemna malowała się na jego obliczu.

V.

W kilka dni potem, pan Michał u siebie w domu, w swojej wiosce rodzinnej odpoczywał po trudach długiej i uciążliwej podróży, a jeszcze dłuższej i uciążliwszej niewoli. Jak się ucieszył widokiem zagrody ojczystej, jak go witali poddani i słudzy, nawet psy domowe, każdy łatwo sobie wyobrazi, ale czekały tu pana Michała bardzo niemiłe niespodzianki. Zastał gospodarstwo w największem zaniedbaniu, najgorzej prowadzone, w szkatule ani grosza pieniędzy. Podstarości, który jego miejsce zastępował, człek poczciwy, ale nie tęga głowa nie mógł sobie z niczem dać rady.

Odpocząwszy trochę pan Michał, zaczął wybierać się w drogę do bogatszych od siebie krewniaków, dla proszenia ich o pożyczkę na złożenie za siebie okupu. Czemuż to w ostatniej chwili tak się ociąga, jakby wątpił o ich dobrem sercu? Czy się lęka aby go skutek niezawiódł? Zkądżeż mu ta obawa teraz, gdy pierwej ani pomyślał o tem? Pan Kasztelan, rodzony brat ś. p. matki pana Michała, człek zamożny i zasobny, bezdzietny, czyż mógłby odmówić synowcowi pomocy w tak ciężkim razie? Siostra, pani starościcowa Raczyńska, której mąż zasłużywszy się nowemu królowi tak prędko wzrasta w zaszczyty i dostatki, ciotka tuzinami wyposażająca ubogie sieroty szlacheckie, czyż mogłyby go opuścić. O nie, pan Michał nie myśli nawet o tem, a cóż dopiero wątpić: co innego przyszło mu na myśl. Przypomniał sobie że trzeba będzie prosić.....a prosić zawsze ciężko, najciężej zaś gdy się swoich prosić musi.

Rozmyślał właśnie o tem siedząc przed domem i patrząc na liche gospodarstwo swoje. Żal mu się zrobiło że tak wszystko w niwecz poszło, a żal ten przyspieszył jego postanowienie. Klasnął w dłonie na sługę, kazał wyprowadzić konia, i odziawszy się burką, wskoczył na siodło.

Za chwilę stracił z oczu swoją wioskę, ulżyło mu się na sercu. Piękna okolica, pola dobrze uprawne, wesołe dworki szlacheckie, uśmiechające się zdala do niego, wszystko to miłe na jadącym sprawiało wrażenie.

— Będzie tak kiedyś i u mnie, pomyślał, niechno się tylko z tym okupem uwolnię, niechno się nareszcie ożenię.

Gdy myśl wpadnie na przedmiot miły sercu, nie łatwo jej się z nim rozłączyć. Snuł też nasz podróżny najcudniejszą marzeń tkankę, żywa wyobraźnia najpiękniejsze obrazy nasuwała mu przed oczy, aż wreszcie postrzegł, że ta zaduma opóźnia jego podróż, poprawił się więc w siodle i myśląc już tylko o celu swojej podróży, pełen dobrej myśli bo z nadzieją w sercu, popędził żwawo w dalszą drogę.

W téj saméj prawie chwili w domu państwa Janów, cała rodzina żwawo o nim rozprawiała. Zdawało się Maryi, że ojciec nie powinien go był puścić bez pieniędzy, że pomimo odmowy z jego strony, powinien był wyliczyć mu kwotę na okup żądaną i nie dopuszczać, aby się troszczył zebraniem jej pomiędzy krewnymi. Umyśliwszy sobie że tak stać się było się powinno, dalejże w prośby do ojca i matki, dalejże przymilać się i wdzięczyć po swojemu, póki nareszcie rodzice nie ulegli ukochanej jedynaczce. Wszystko według jej pomysłu stać się musiało. Pan Jan napisał list do Michała, odliczył pieniądze i przywoławszy zaufanego sługę, wysłał go z posyłką do niego, przykazując spieszyć co tchu najprzód do jego wsi, a gdyby go już nie zastał, trop w trop jechać póki go nie znajdzie.

Posłaniec przybył nazajutrz po wyjeździe pana Michała, a tak tylko dzień drogi oddzielał go od niego.

(d. n.)